Mól w żelaznej kurtynie. Al Purdy (1918-2000).

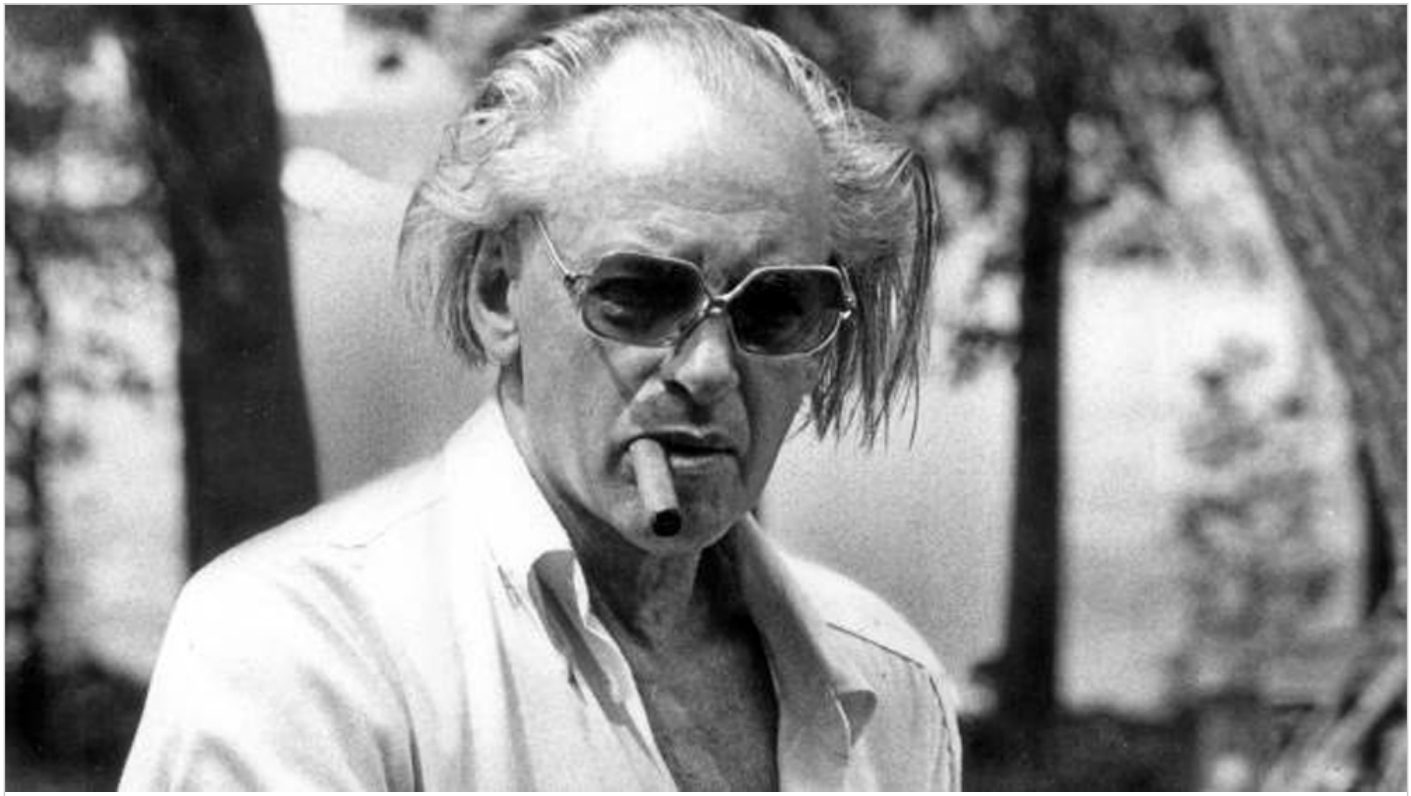

Al Purdy

Florian Śmieja

Purdy jest wedle opinii wielu swoich ziomków ważną, a nawet centralną, postacią minionej fazy formowania się narodu kanadyjskiego oraz czołowym poetą tych doświadczeń, oryginalnym głosem kulturalnych, historycznych i politycznych aspiracji ludzi, którzy chcieli zbudować alternatywne społeczeństwo amerykańskie we współpracy Anglosasów i Francuzów, bardziej stabilne i praworządne od republiki południowego sąsiada.

Jego tomik wierszy "Moths in the Iron Curtain" (Toronto 1979) z podtytułem "Przygoda" nie należy do jego sztandarowych utworów, na co wskazuje choćby pominięcie go przez autora, kiedy układał "Poezje zebrane". Ale ten właśnie zbiorek ilustrowany fotografiami zrobionymi przez żonę, Eurithe, ofiarował mi z dedykacją rozciągniętą również na moją żonę i na młodszego syna, „piromana", kiedy przed laty wracając z Montrealu odwiedziłem go w jego słynnym domku w Ameliasburgu.

"Mole w Żelaznej Kurtynie" to poetyckie reminiscencje z podróży Ala z kanadyjskim poetą i przyjacielem, Ralphem Gustavsonem, wraz z żonami, na oficjalne zaproszenie do ówczesnego ZSSR. W ciągu trzech tygodni pod ścisłą opieką tłumacza i bacznych pilotów kanadyjska czwórka odwiedziła Rygę, Leningrad,

Moskwę, Kijów, Taszkent i Samarkandę. Dowcipny wstęp Ala nadaje również niefrasobliwy ton wierszom. I tak w jednym z nich Al biada nad niewielką ilością napisanych w czasie podróży wierszy i proponuje swojemu towarzyszowi Ralphowi zamianę: za jeden własny wiersz chce pięciu jego tekstów, by było po równo.

Nie stroniąc od mocnych trunków, którymi ich gospodarze raczyli, goście ograniczyli się do roli przychylnych obserwatorów respektujących zwyczaje i gusta innych. Nie umacniając Żelaznej Kurtyny, wielkiej krzywdy jej nie wyrządzili. Rzadka krytyka była okraszona humorem. Jako szermierz języka efektywnego Purdy przyrównał kwiecisty język gospodarzy do sytuacji, w której "sześć przymiotników kojarzy się z jednym biednym maleńkim męskim rzeczownikiem, co w każdym języku stanowi semantyczną poligamię".

Alfred Wellington Purdy urodził się w ubogiej rodzinie chłopskiej w Ontario. Opuścił szkołę, kiedy miał szesnaście lat i imał się różnych prac fizycznych jeżdżąc w czasach depresji pociągami towarowymi po całej Kanadzie. Był niezwyczajnym zjawiskiem potężnego mężczyzny piszącego od młodych lat wiersze. W 1944 roku za własne pieniądze w Vancouverze wydał debiutujący tomik. Nie był żadnym cudownym dzieckiem, ale samoukiem z wrodzoną skłonnością do poezji i chłopskim uporem. Zaczął od naśladowania tradycyjnych poetów produkując słabe, sztuczne utwory pisane w izolacji od współczesnej sceny kulturalnej. Dużo

czytał. Z czasem zaczął studiować i poważać rówieśnych poetów jak D.H. Lawrence czy później, Irving Layton, ale poznając nowe formy trzymał się z daleka od naśladownictwa. Wierzył w swoją niezależność, nie chciał cudzych wzorców. Samodzielnie pracował wytrwale nad formą wypowiedzi i językiem. Po latach nabrał pewności i świeżego przypływu energii.

W 1960 zbudował w Ameliasburgu domek, który miał stać się jego ostoją, często z niego wyjeżdżał, ale stale wracał. Mógł wtedy też porzucić dorywcze prace i poświęcić się pisaniu. Jego poezja reprezentowała już własny głos, pełna była wigoru i swobody, powstawała na dawnych nieudanych próbach mocna i przekonywująca. Poeta urobił sobie własną dykcję, jego wiersz stał się płynny i odkrywczy, zmieniał dynamikę i ton. Purdy stał się sobą, osiągnął pisarską dojrzałość. Jego wiersze posiadały moc, były szorstkie, agresywne, ale potrafiły również być delikatne. Buszował w języku odważnie znacząc oryginalną drogę. Wszystkie udane zdobycze warsztatu konsolidował, wydawał wiersze i poematy szeroko czytane, zauważane i nagradzane. W 1965 zdobył ważną nagrodę Gubernatora Kanady.

Ustaliła się też z czasem tematyka jego wierszy: Kanada, jej rozległe ziemie i ludzie, miejsca znane z dzieciństwa, ale także i wszechświat oraz podstawowe tematy jak miłość i śmierć.

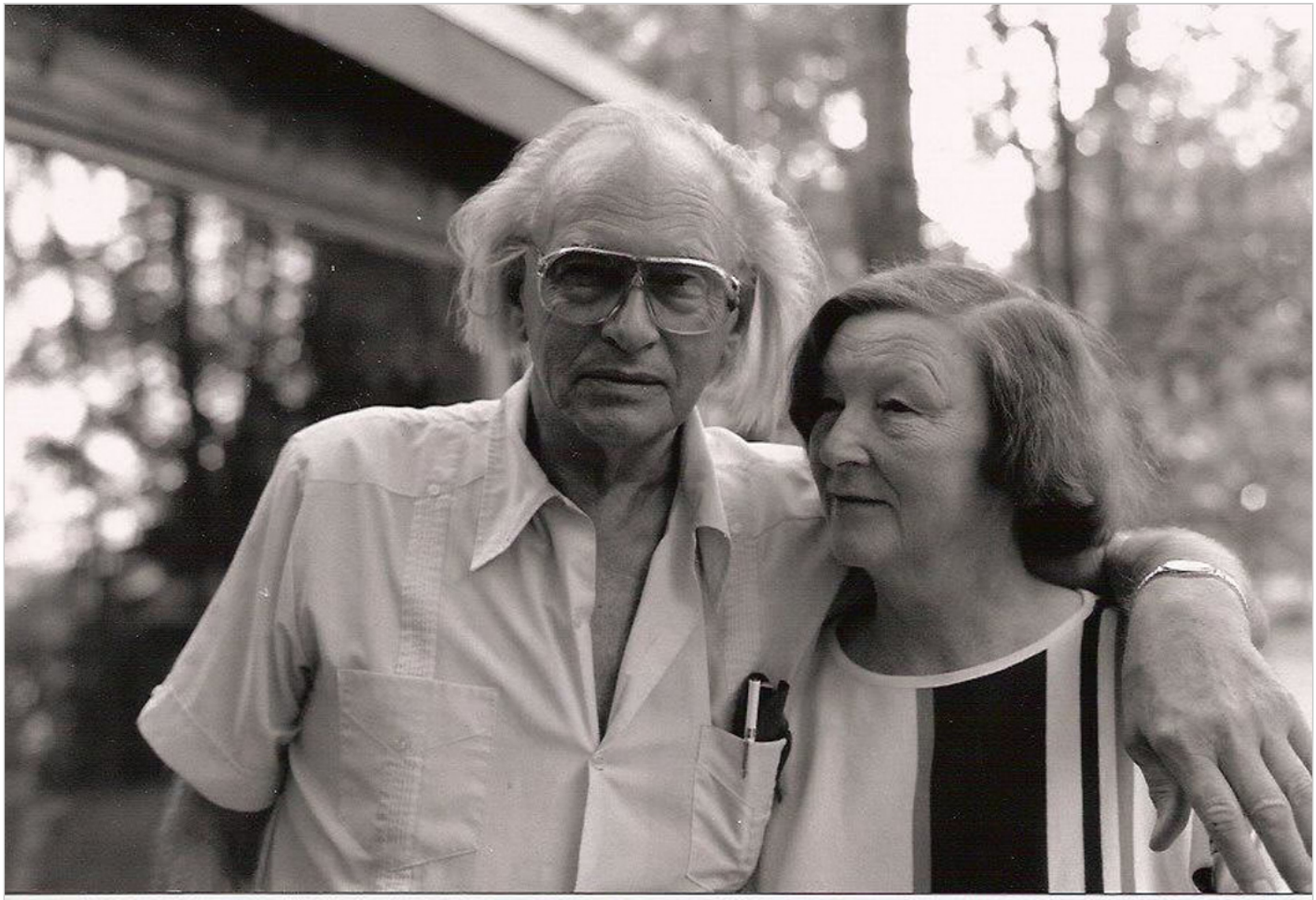

Al Purdy z żoną Eurithe

Zaczęto Purdy’go uważać za modelowego poetę kanadyjskiego. Zjawił się nagle na scenie już jako ważny poeta, respekt budzący erudyta, samouk, niestrudzony wędrowiec ciekawy świata, człowiek aktywny. Przed sentymentalizmem i pretensjonalnością bronił się buńczuczną, zaczepną ironią. Wciągnęły go sprawy podstawowe i ostateczne. Zdaniem wielu krytyków, żaden inny poeta nie włożył tyle głęboko odczutej kanadyjskości do swoich wierszy. W jego świadomości tkwi zawsze ogrom kraju, a przy tym kruchość istoty ludzkiej na tle nieznanej i niezbadanej

prehistorii kontynentu. Poczucie przemijania łączy z koniecznością identyfikowania swojego otoczenia.

> Zawsze starałem się unikać
>
> rzeczy nieprzyjemnych
>
> niemiłych zapachów, śmierci, fizycznego bólu
>
> Nigdy mi się to nie udawało
>
> kwiaty śmierdzą, piękno gnije, bogowie umierają
>
> jak tylko uda nam się zagarnąć dla siebie
>
> jakiś słoneczny moment i utrzymać w myśli
>
> już się przemienia w potwora
>
> opisywanie tych wszystkich aspektów grozy
>
> nie jest uniwersalnym lekiem
>
> żadną pomocą w nazywaniu rzeczy

> pomimo to nazywam rzeczy po imieniu.

Ukochanie życia każe mu się zajmować najmniejszą formą bytu, którą celebruje:

> Odebrać godność jakiemukolwiek bądź żyjątku
>
> nawet kiedy nie potrafi zrozumieć obraźliwych słów
>
> to trywializować życie samo

Uczy, że przez sztukę człowiek unika zagłady, zniszczenia ciała i ducha. Na widok dawnej broszki napisze:

> Po 600 latach
>
> myśl z kości słoniowej
>
> jest jeszcze ciepła.

Kiedy przed laty Al przyjechał na jeden semestr w charakterze poety gościnnego na Uniwersytet Western Ontario (a byli tam wtedy tacy pisarze jak James Reaney i Michael Ondaatje),

chętnie i z wielkim respektem słuchaliśmy jego pełnego głosu wygłaszającego z radością wiersze, których wydał kilkadziesiąt tomów.

Pisanie dawało mu przyjemność, podróżowanie i wydawanie stały się pasją. Widział szmat świata, ale przede wszystkim poznał rozległe uroki Kanady, które smakował, szczególnie atrakcyjna była dla niego daleka Północ, której ludzie i ich styl życia mu imponowali. Zanotował:

> Nigdy nie byłem szczęśliwszy, niż kiedy leżąc w śpiworze na arktycznej wyspie wsłuchany w rozgardiasz kaczek na szczycie świata, pisałem wiersz.

Mimo dużego dorobku i wielkich sukcesów, pozostał skromnym człowiekiem:

> Jako pisarz czułem się zawsze wiecznym amatorem. Pisząc wiersze przez całe życie, nie mam nigdy pewności, że powstanie nowy wiersz, a potem okazuje się, że piszę nowy wcale nie wiedząc, jak to się stało…

Autentyczność tych słów mogę potwierdzić, gdyż czekając raz z

Alem pod bramą uniwersytetu na spóźniających się przyjaciół, stałem się posiadaczem rękopisu dotąd nie ogłoszonego wiersza na poczekaniu napisanego i wręczonego mi przez zniecierpliwionego zawieszeniem poetę.

Czy małe jest wielkie – o poezji Floriana Śmieji

Promocja najnowszego tomu poezji Floriana Śmieji „Dotykanie świata” (2016) w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r. Florian Śmieja (z lewej) i Konsul Generalny Grzegorz Morawski).

Maria Magdalena Rudiuk

Florian Śmieja (poeta, tłumacz, krytyk, edytor, profesor uniwersytecki języka i literatury hiszpańskiej) jest, jak sądzę, w porównaniu do innych kanadyjsko-polskich poetów/ek wojennej emigracji, obok Bohdanowieczowej, najbardziej tradycjonalny.

Przy czym, paradoksalnie, czyż ta poezja nie może być uznana za wyraźną realizację postmodernistycznego wymogu rezygnacji z „grand – narratives”? To właśnie Śmieja zdecydowanie wspomaga postmodernistyczne „mini narratorstwo” – „małe” zamiast „wielkiego”, bardziej lokalność niż globalność, bardziej konkret niż enigmatyczną uniwersalność. To właśnie on – jak to znajdujemy w *Mały wybór wiersz (s.* 23) – wyznaje, *jeśli w krajobraz wchodzić masz, to z sobą* i to on nakazuje sobie czujność, aby *„nie przeszła obok / ta, co się jedynie liczy: intymność.* W świecie wyborów:

> można w mroku dnia szarego
>
> pomnażąc cuda
>
> i trawić życie wśród bratnich zabiegów
>
> niegłośnym trudem
>
> (Florian Śmieja, Mały wybór wierszy, 3)

Obok, Danuty Bieńkowskiej, Zofii Bohdanowiczowej, Andrzeja Buszy, Bogdana Czaykowskiego, Janusza Ihnatowicza, Wacława Iwaniuka, znalazł się Śmieja w Kanadzie w następstwie drugiej wojny światowej. Wszyscy wymienieni twórcy byli „ofiarami”

wojny. O ile jednak Iwaniuk (i w mniejszej mierze Bohdanowiczowa) identyfikuje się z postawą „ofiary”, o tyle pozostali zdecydowanie nie pozwalają sobie na zamknięcie się w tej kategorii. Śmieja bez wdziewania cierpiętniczych szat buduje w Kanadzie swój dom, nie zapominając o swoim gnieździe – Śląsku, tej specyficznej części Polski targanej, jak i reszta kraju, bolesnymi historycznymi zmianami.

TAM I TUTAJ – KULTUROWE DYSTANSE I BLISKOŚCI

Florian Śmieja pośród innych wojennych imigrantów w Kanadzie

Procesy adaptowania się w nowym kraju tak różnym od Polski i od Europy nie przebiegały bez oporów. Interesującym faktem jest, że różnice przeżywania kulturowych dystansów i bliskości wydają się być, w dużym stopniu, różnicami generacyjnymi. Najbardziej kontrastująca różnica postaw zachodzi między najstarszymi – najdłużej zakorzenionymi (Bohdanowiczowa, Iwaniuk), a najmłodszymi – najkrócej zakorzenionymi (Czaykowski, Busza). Dla Iwaniuka problem tożsamości jest „wszystkim”, jest fundamentem myślenia i pisania, Busza jest ponad tym problemem. O ile Iwaniuk bezpowrotnie należy do utraconych miejsc, tak Busza nie przynależy do żadnego miejsca. Świadomie przyjęte, „obywatelstwo” – kulturowe Universum – pozwala Buszy i Czaykowskiemu przekroczyć wszystko to, co dla

Iwaniuka było nieprzekraczalnym światem. Dla Czaykowskiego człowiek – mocarstwo wewnętrzne, a nie „miejsca” są ważne” i tak jak u Buszy nie one decydują o tożsamości.

Śmieja, najbliższy wiekowo Iwaniukowi (13 lat różnicy) oddala się od „młodszych” i zbliża do Iwaniuka. Różnic jest jednak więcej niż podobieństw. O ile jednak u Iwaniuka jest to identyfikacja z obrazem zniszczonego swojego „miejsca” (Polski), tak u Śmieji jest to, mniej obraz, bardziej konkret, mówienie wprost – bardziej o Śląsku i jego bolesnych realnościach niż życiu Polski. U Śmieji jest to najczęściej identyfikacja w wymiarze realnym, Iwaniuk operuje znakami, które mają świecić blaskiem szerszych symbolicznych znaczeń utraconego „miejsca”. W obydwu przypadkach jest to kult „miejsca”, ale zarazem uderza odmienność funkcji: dla Iwaniuka jest to kontynuacja starej partiotyczno-niepodległościowej tradycji sięgającej do romantyków, u Śmieji jest to już nie *pars pro toto* ojczyzna, ale gniazdo – Śląsk, gdzie szuka i odnajduje prawartości siebie i człowieka.

W obydwu przypadkach jest to obrona imponderabiliów, ale dla Iwaniuka to wysiłek docierania do skarbca romantycznych znaków „ojczyzny duchowej”, próba samookreślenia się jako poety – depozytariusza prawdy, mówienie z pozycji poety – autorytetu, kontynuatora dziedzictwa, jako tego kto wypełnia nakaz, realizuje wielki testament. I w konsekwencji rozpacz, bo

spełnienie misji, kontynuacja tradycji – bycia wieszczem swego narodu – jest niemożliwa, jakby nie ten czas, jakby zwyciężał paraliżujący poetyckie posłannictwo kosmiczny bezład powojennego świata – potwór Nowego Ładu burzącego dawne świętości. Głos poety – romantycznego patrioty, jest głosem wołającego na puszczy – taki jest status współczesnego poety – imigranta w Kanadzie i w reszcie Zachodniego świata. Zwyciężają „papierowe demokracje Zachodu", a sięgając do języka postmodernistycznego – coraz głębiej ustala się podejrzliwy stosunek wobec takich wyróżnionych wartości jak: patriotyzm, narodowość czy rasa. Zaczynają one być coraz głośniej rozpatrywane jako jeszcze jeden z groźnych mitów ludzkości, które prowadzą do grozy faszyzmu i nacjonalizmu. Dorobek Iwaniuka zaś swoich dalszych konsekwencjach – jest moim zdaniem – wyrazem poetyckiego energicznego protestu i goryczy, że nie tylko wysiłek walki zbrojnej Polaków w czasie drugiej wojny poszedł na marne, ale tradycyjny polski bojownik sprawy narodowej jest pozbawiony swojego uświęconego etosu, jakby był gatunkiem skazanym na kulturowe wymarcie, niczym kanadyjscy Indianie. Powojenny świat to proces burzenia świętego dla poety „status quo" . Nic już nie jest takie samo, „biblia nie jest biblią" .

U Śmieji jest obecne porażenie współczesnością, ale nie ma kosmicznego wyjścia świata „z normy". Zgodzić się trzeba z Marią Danilewicz –Zielińską gdy pisze: "W poezji Śmieji w

stopniu wyższym niż u pozostałych poetów grupy dochodzi do głosu przerażenie współczesnością” (Szkice o literaturze emigracyjnej, Paryż 1978, str. 333). Okres powojenny dla tego poety to dalej świat, gdzie budowanie domu jest możliwe, jak czytamy w wierszu *Nie jestem turystą* i jest to dalej świat tradycyjnych śląskich i chrześcijańskich wartości. To nie Iwaniukowy pocisk-słowo, to nie jest ton narodowej słuszności, wielkich prawd zagubionego poety, ale dominuje u Śmieji mowa ściszonym głosem pojedynczego człowieka, który nie stracił wiary, a więc nadziei w „lepsze”.

POEZJA – DEPOZYTORIUM WARTOŚCI

Kontynuator tradycyjnych wartości nie może rezygnować z postawy depozytariusza moralnych słuszności. Także obok decyzji mówienia „ściszonym głosem” (wspomnianej rezygnacji z „grand narratives”) podmiot liryczny nosi w sobie jednak cechy *człowieka faustowskiego* – człowieka „słusznej wiary”, w którą składa swe totalne poczucie wartości i znaczenia. W poezji Śmieji przyjmuje on postawę podziwianego przez poetę człowieka z „charakterem”:

> LUDZIE Z CHARAKTEREM
>
> Przez królewicza zhańbiona Lukrecja

nie mogąc z sobą żyć ujęła sztylet;

ponoć z odrazy, że wodził pryszczatym

śmierć sobie zadał ambitny poeta.

Niebezpiecznie żyć ludziom z charakterem:

słuchają głosów chociaż niebo puste

smak cenią wśród powszechnego obżarstwa.

Kiedy przeżyją, to powiedzą o nich

nieutytłani, wstydzić się nie muszą

żadnych lustracji się nie obawiają.

Jak w porównaniu wyglądają inni

co iść musieli na drobne układy;

nie mówiąc o tych, którzy nadal w maskach

co etykietkę za waszą I naszą

> sprytnie na tu I teraz pomienili?
>
> Wpierw towarzysze, potem .liberały
>
> z socjalistycznych trybun w kapitalizm
>
> wiatr historii zawsze im wieje w plecy
>
> znów na świeczniki wystawia, bezczelne
>
> gęby chichocą pośród dygnitarzy:
>
> że za pan brat z prokuratorem żyją
>
> to się śmiać mogą nawet z grubej kreski.
>
> Nie sądzę by im sen z oczu płoszyła
>
> ręka, co pisze po nocach na ścianie
>
> bezskutecznie: proszę państwa do gazu.
>
> (Florian Śmieja, Niepamiętanie, 11)

Kąśliwości pod adresem bliźnich, czy złoszczenia na ludzkie

przywary nie są obce podmiotowi lirycznemu Śmieji, ale dominuje ton wyważonej refleksji, ton zadumy na upływem czasu i paradoksalnością ludzkiego świata:

> DWA MITY
>
> Pisaliśmy ją przez duże E
>
> i przyrównywali do Wielkiej
>
> bo przemożna była potrzeba
>
> naszego wzrostu chociażby
>
> tylko we własnych oczach.
>
> Krwią poiliśmy maki, tułali się
>
> w opłotkach nieczułego świata
>
> cali zajęci sprawą czujni
>
> rycerze za naszą i waszą.
>
> Z pietyzmem mówiliśmy Kraj

> naród cierpiący, sama esencja
>
> bezwinnego człowieka
>
> kamienie na szaniec godności
>
> całopalny baranek bez zdrady
>
> solidarna bezinteresowność
>
> chłopcy krakowiacy wyłącznie.
>
> Aż tu się skończył komfort dychotomiii
>
> i znowu chochoł kazał nam się kłaniać:
>
> stąd emigrantom do kraju nie pilno
>
> a stamtąd nie mogą się dość nauciekać.
>
> (Florian Śmieja, Ziemie utracone, 16)

I znowu, takie wiersze w dorobku Śmieji można uznać za paradoksalnie wspomagające, tak obce poecie myślenie znanych radykałów nowej wrażliwości (Susan Sontag – Nowa

wrażliwość i inni jak Richard Gilman, Theodore Roszak...), którzy stwierdzają, że wszelkie wyjaśniania świata tak prymitywne, jak wyrafinowane (w tym racjonalnie kategoryzujące) są mitami, arbitralnymi konstrukcjami ludzi na pewnym etapie rozwoju kultury, w tym ludzkiej świadomości... że wszelkie poznanie i definiowanie jest niczym innym jak tylko indywidualnym bądź zbiorowym posługiwaniem się mitem, a nawet obiektywna świadomość jest niczym innym jak tylko szczytowym osiągnięciem zabiegów mitologizująch współczesnego człowieka.

Przy całym tradycjonalizmie Śmieji, przy uznaniu umysłu zwyczajnego za podstawę poetyckich konstrukcji, tego typu wiersze bronią dorobek Śmieji przed zarzutem dogmatycznego usztywnienia. Warto zwrócić uwagę, że percepcja jakości moralnych, intuicja zła – te zwyczajne doświadczenia każdego człowieka – nie prowadzą tego poety do wysiłków wyjaśniania czym jest *malum culpae* (zło moralne) a czym *malum poenae* (cierpienia), ile raczej odnajdujemy w dorobku wiele ich poetyckich zanotowań jako sposób poszukiwania swojej tożsamości:

> SPÓŹNIONA ARKA
>
> Moja Kanada jest spóźnioną arką

gdzie się rodzaje i gatunki chronią

przed kataklizmem zagniewanych mocy,

pobożną wieżą Babel, co pobrzmiewa

pomieszanymi językami, tętni

lojalistami wielu wzniosłych celów

i kustoszami serdecznych pamiątek.

Ona ochładza rozpalone serca

co tutaj uszły po wielu pożogach,

nakarmi głodnych, pragnących nasyci;

wyrozumiałym gestem wielkodusznych

często przygarnie łotra i blagiera.

W tym kraju można uleczyć nieufność.

Nieraz bohater wojennych dramatów

> mieszka naprzeciw dawnego oprawcy
>
> donosiciela, rzecznika przemocy:
>
> Jakby z substancji tak zgoła odmiennych
>
> chciano wypalić nowego człowieka
>
> żadną granicą nie obciążonego,
>
> nie niewolnika plemiennej historii.
>
> (Florian Śmieja, Niepamiętanie, 13)

A jednak to nie fenomen Kanady, ale kultywacja wartości plemiennych i protest wobec kulturowej deprecjacji Śląska jest wartością dominującą i bodaj czy nie istotą przesłania poetyckiego Śmieji. Śląsk to ziemia dla Polski odzyskana, ale dla poety jest utracona. To właśnie śląskie wiersze uwyraźniają najbardziej bodaj wzruszająco, że poezja tego poety jest bardziej zapisem doświadczenia niż autorytatywną wykładnią słuszności:

> ZIEMIE UTRACONE
>
> Ziemie utracone to posiadłości

najbardziej niezbywalne; żadne one

ewangeliczne marności, które mól

stoczy, zje rdza i ząb czasu nadgryzie.

One się zawsze ozywają w ciszy

nawet najbardziej strzeżonej samotni.

Wystarczy na moment zamknąć powieki

a najpełniej zaludnią twój sen. Nic to

że minął czas i narosło dystansów.

Nie ucichł dotąd turkot kół: wciąż dudni

i na wzgórzu sterczą nieme wiatraki

choć dawno zmełły swoje ziarno.

Sędziwa ciotka łaje niepogodę

której już nie ma poza jej lamentem.

> Bo nic nie jest bardziej twoje niż tamto
>
> co wtedy utraciłeś: pełne trzmieli
>
> małe pudełko w sadzie pod jabłonką,
>
> chude bociany kreślone niezdarnie
>
> na podniesionym blacie długiej ławy,
>
> u kulawego krawca szyte spodnie,
>
> ostre miętówki z poczekalni dworca.
>
> (Florian Śmieja, Ziemie utracone, 30)

W całościowym spojrzeniu diapazon emocjonalny w wyrażaniu człowieka i kultury XX wieku jest u tego poety optymistyczny (por. Pukaj, Notes, Odchodzenie, Wnuk...), mocno osadzony w tradycji chrześcijańskiej. Obok tonu pogody i akceptacji życia i kondycji ludzkiej, jak w humorystycznej „Drzemce”:

> DRZEMKA
>
> Zdrzemnąłem się nad wierszem Kawafisa

> już przy tytule zamknęły się powieki.
>
> Gdy otworzyłem oczy
>
> było po wszystkim:
>
> zdążył odejść Demetriusz
>
> i wcale nie po królewsku
>
> z Macedończyków nawet śladu.
>
> Wiele się może zdarzyć kiedy śpimy
>
> nie wolno zasypiać
>
> nie tylko gruszek w popiele.
>
> (Florian Śmieja, Niepamiętanie, 9)

nieobce mu są jednak melancholijne refleksje o kruchości życia – „jesieni”, ani ton kogoś, komu nieobce są grzechy ludzkie:

> KUSZENIE

Ledwo uszedłem z Babilonu

lecz nawet tutaj

gwar słyszę wśród traw

i pośród lilii polnych

że Salomon

nie był taki nagi

jak głosi przypowieść

że lepiej być ziarnkiem piasku

w stołecznej klepsydrze

niż młyńskim kamieniem

w kresowym miasteczku.

Nie bywam na kawie

więc nie wiem dlaczego

> tylu geniuszów chodzi incognito.
>
> Nie ma mnie na schadzkach
>
> rosnącego w oczach
>
> klubu nieproduktywów.
>
> Porażka moja będzie zawiniona
>
> osobista, bez ciotki w gazecie.
>
> Koniec niechlubny od rynku
>
> daleko. Nie słyszeli tu nawet
>
> o taryfie ulgowej a pisanie
>
> wierszy jest obciążeniem
>
> wstydliwym.
>
> (Florian Śmieja, Niepamiętanie, 30)

Śmieja uniknął sideł nihilizmu (Iwaniuk, Bieńkowska), ale

uobecnia się w jego dorobku dramat ludzkiej niemocy, bezradności:

> UCIECZKA
>
> Uszedłem poza zasięg złości
>
> w ustronne lasy.
>
> Zaszytego w gałęziach
>
> telefon nie znajdzie
>
> i nie przyniesie listu cierpkiego
>
> dzięcioł.
>
> Więc tylko myśl
>
> której ujść nie podobna
>
> więc jeno żal
>
> że ręka do podania stworzona

w pięść się zaciska

a uśmiech

liściem spada uwiędłym.

I jak nie zazdrościć

topolom

że rosną prosto

ptakom

że zamiast złorzeczyć – śpiewają.

Jak nie zazdrościć

mimo że wiem

że i we mnie

drzemią trele skowronków

i smukłość drzew.

> Mimo że wiem
>
> nie mam
>
> nie mam odwagi
>
> sięgnąć tak głęboko.
>
> (Florian Śmieja, Kopa wierszy, 58)

ŻYCIODAJNE ŹRÓDŁA ŚMIEJOWEGO ŚWIATA

Przy dzisiejszym zagubieniu aksjologicznym, zanikaniu wiary w obiektywną zasadność znaczeń , a w ślad za tym tradycyjnych sposobów nadawania światu sensu, właśnie temu poecie jakby udaje się omijać zawikłania współczesnej świadomości i pozostać wiernym prostocie wiary, że życie jest obdarzone znaczeniem:

> ZALECENIA NA WALNY ZLOT ANIOŁÓW
>
> Tak żyć, aby było jaśniej
>
> innym.
>
> Brać tyle

> by nie ubyło nikomu.
>
> Czekać, choć wiesz,
>
> że nikt do ciebie nie zapuka.
>
> Wierzyć w człowieka
>
> właśnie, bo zawodzi.
>
> (Florian Śmieja, *Wiersze*, 78)

Ten poeta omija całą plątaninę modernistycznych i postmodernistycznych zawiłości człowieka i kultury, aby pozostać w sferze prawd wzruszająco prostych i powiedzieć to, co dawno odkryte i dalej aktualne:

> STAŁOŚĆ CZŁOWIEKA
>
> Biskup saksoński Wulfstan
>
> wołał na progu milenium:
>
> nie lękajcie się, głupi,

siekier ani mieczy

rogatych duńskich rozbójców;

nie trwóżcie się,

kiedy dzioby łodzi

ryją się w wasze brzegi

lejąc po siołach pożar.

Pana się bójcie, rozwięźli,

co pełne macie komory

i skrzynie a ciało

jedno i brzuch.

Stamtąd pewniejsza zagłada,

śmiertelniejsze zniszczenie.

Powtarzam jego słowa

> sprzed lat tysiąca,
>
> nic zmieniać nie trzeba.
>
> Stałość kondycji człowieka
>
> oszczędza wiele zachodu.
>
> (Śmieja, *Wiersze wybrane*, 38)

Czy w dzisiejszym postmodernistycznym świecie taki tradycjonalizm podejścia ma status klasycznych staroci, czy jest w tym coś więcej? Śmieja, nie kwestionując stałości kondycji ludzkiej, przeciwstawia się tym samym współczesnemu relatywizmowi, współczesnemu rozumieniu wartości w kategoriach historycznych. Czy faktycznie w dzisiejszym świecie taki głos jest anachronizmem? Czy raczej taki poeta jest jednym z tych, którzy unaoczniają kulturowy sens wartości ciągle jednak dalej podstawowych?

Dramat współczesnego człowieka wywołany brakiem wiary w transcendentalny porządek omija tego twórcę. Czyż taka tradycjonalna postawa nie jest dzisiaj rzadkością? Ten poeta pisze tak, jakby cała postmodernistyczna aktywność destrukcyjna tego, co nazywamy „tradycją” nie dotknęła go.

Jakby stare i najnowocześniejsze „zagrożenia” omijały tego szczęściarza:

> SZCZĘŚCIARZ
>
> Tylu umarło z byle powodu
>
> a on się uchował
>
> z nieznaczną blizną na szyi.
>
> Innym nie trzeba było wiele
>
> gdy sam przez okno wypadł
>
> z cegłami w zawody
>
> tylko strachu się najadł.
>
> Widział bomby lecące
>
> prosto na niego
>
> ale zginęli tamci.

> Kiedy się zatrzasnęła
>
> żelazna kurtyna.
>
> został po dobrej stronie.
>
> W asyście mglistej pamięci
>
> może o sobie wspominać
>
> bez niewygodnych świadków.
>
> (Florian Śmieja. *Wiersze wybrane*, 66)

Jak to się więc stało, że ani wypadek z dzieciństwa, ani przymusowe roboty, ani okropności drugiej wojny, ani powojenne warunki w Anglii czy wreszcie stabilizacja w Kanadzie, ani modny i wdzierający się do dusz wszystkich postmodernizm nie zasiały spustoszenia albo co najmniej nie nadwątliły jego przekonań o sile tradycji? Jak to się stało, że te doświadczenia nie zostawiły śladów w postaci niepokoju wobec pewności rozumienia tego, co określamy „normalnością”?

Iwaniuk, aby przywołać go dla kontrastu, poszedł w zupełnie przeciwną stronę. Mimo oporów wobec nowej kultury to

katastrofizm, postmodernistyczny apokaliptyzm okazał się dla niego właściwym twórczym kontekstem – znalazł się tam jak w „domu” dla wyrażenia tragizmu człowieka drugiej połowy XX wieku. Iwaniuk nie podźwignął się po przeżyciach drugiej wojny światowej i po powojennej zdradzie aliantów („oddaniu” komunistom jego kraju), nie podźwignął się już po gwałcie odłączenia od życiodajnego źródła – ojczyzny. Nie ukoiła go stabilność kanadyjska, co gorsza, może właśnie ta kanadyjska stabilność normalności dla kogoś, kto przeżył wojnę i utratę kraju, była tylko jedną z późniejszych przyczyn zgorzknienia?

Wszystkie te fakty są ważne, ale mnie interesuje głównie znalezienie odpowiedzi na pytanie: jak to się stało, że powojenna kanadyjska rzeczywistość u Iwaniuka staje się światem zanikających znaczeń? Światem, w którym coraz bardziej dominującą wartością okazuje się bezsens? Podczas gdy o dziesięć lat młodszemu Śmieji ta sama tradycja „gniazda” pozwala zachować w tej samej Kanadzie jasne tony tak w poszukiwaniu, jak w znajdowaniu tego, co najważniejsze w życiu człowieka – sensu? Zaś u pozostałych młodszych twórców ta tradycja gniazda staje się bardziej ważną metryką językowo-kulturową (sygnalizującą ich odmienność w nowym świecie), niż sferą mocnych aksjologicznych identyfikacji.

„MAŁE JEST WIELKIE”

Obok różnic wieku, osobowości, doświadczeń, wdrożeń

intelektualnych i artystycznych, najbardziej intrygujące są dla mnie odmienności wyposażeń „miejsca”, odmienności aksjologicznego ekwipunku wyniesionego z „domu”. W konsekwencji widzimy różnorodność, można wręcz powiedzieć kontrastującą odmienność ukształtowań, co dowodzi tylko bogactwa polskiej kultury.

Ten ekwipunek domu w przypadku Iwaniuka nie stał się konstruktywny, nie pomógł mu unieść ciężarów życia (choć jednocześnie uaktywniał go twórczo). W przypadku Floriana Śmieji właśnie ta siła „gniazda” okazuje się źródłem życiowych mocy. Bo to właśnie tam (vide: Marek Pytasz, Florian Śmieja, *Wiersze wybrane*, Posłowie), na Śląsku, w obszarze pierwotnych wartości, tkwią korzenie Śmiejowej praufności, że życie ludzkie obdarzone jest sensem. Jego zwyciężający wszelkie przeciwności naturalny, znajomy, ziemski, nieuginający się w żadnych okolicznościach zdrowy rozsądek jest właśnie śląskiej proweniencji. To właśnie, obok chrześcijańskich wartości, tradycja śląskiego szacunku dla pracy, pokora wobec „twardego” życia, zachowanie we wszystkich okolicznościach właściwej miary widzenia – zdrowego rozsądku, pozwala mu widzieć świat taki, jakim jest w swoim zastanym pięknie i w jego możliwościach „upiększania”. W dorobku tego poety odnajdujemy bardzo wyraźne wyeksponowanie wartości życia zwykłych ludzi pracy. To jego twórczość może być uznana za ekspozycję postmodernistycznego „małe jest wielkie” .

W jednym ze swoich wierszy „Wyborni mistrzowie” Śmieja pisze:

> WYBORNI MISTRZOWIE
>
> Wyborni byli majstrowie
>
> schludnych śląskich osad
>
> miasteczek z kolorowych klocków. .
>
> Onegdaj znajomy proboszcz
>
> pokazywał zdjęcia
>
> frontony starych domów
>
> sacrum u szczytu oddzielne
>
> misternie wymodlone kielnią
>
> i rozumieniem rzeczy ostatecznych. .
>
> Błogosławieni, którzy stawiają

> kamień na kamieniu
>
> gromadzą budują mnożą. .
>
> Ich ciche imiona przetrwają
>
> Wandali Tatarów i nowszych szabrowników.
>
> (Florian Śmieja, *Niepamiętanie*, 8)

Poeta swój program zdroworozsądkowego, realistycznego minimalizmu uaktualnia tak w świecie „tutaj”, jak „tam” i może dlatego nie daje się zwieść żadnym Wielkim Sprawom, Jedynym Słusznościom, żadnym zbiorowym zaczarowaniom. Przeciwnie, jest w tym dorobku czytelne przekonanie o głębokim sensie zwyczajnych celów, tego wszystkiego, co zawsze było i jest sprawą zwyczajnych ludzi. Jest tam obecne przesłanie „małego”, ale solidnego gospodarowania życiem takim, jakie jest ono dane człowiekowi.

W tej postawie można dopatrzeć się kontynuacji starej tradycji myślenia, wynikającej z etymologicznego znaczenia słowa „kultura”. Jest to myślenie, że ludzka aktywność jest aktywnością kulturową, a więc uszlachetniającą zastany świat. Choć poeta nie wyraża tego expressis verbis, jednak przebija się to

przekonanie przez cały jego dorobek. Skoro uszlachetnianie / kultywowanie, to ludzka aktywność jest nie byle jaką aktywnością, to nie jest wszelka aktywność, ale tylko ta, która jest moralnym zobowiązaniem do zmiany ulepszającej. Praca „wybornych mistrzów" jest jednym z przykładów tak rozumianej aktywności – dobrej, solidnej pracy, a więc tego, co przez wieki stanowiło fundament w odnajdywaniu sensu życia indywidualnego i społecznego, co jednocześnie – jak sądzę – decydowało o euro-amerykańskiej dynamice kulturowej.

Przy tak rozumianym etosie aktywności jako pracy (aktywności celowej, racjonalnej, ulepszającej) czym jest aktywność poetycka? W „Moim wierszu" poeta wyjaśnia, że jest to „nazywanie głosem ściszonym":

> aby nie pogubiła się
>
> choćby najskromniejsza rzecz
>
> za którą potrzebujący kupi
>
> chleba, schronienie, spokój.
>
> Bo ona mnie obroni.

> (Florian Śmieja, *Wiersze wybrane*, 35)

SKRZĘTNY GOSPODARZ SENSU

Żyjemy w czasie traconej wiary we wszystko. Dziś każdy może się szczycić brakiem sensu, autentyczności, zagubieniem, każdy może być pozbawiony wolności i osobowości, przeżywać dojmująco tragizm swojego czasu… Przyznanie prostocie (by nie powiedzieć rutynie) codziennych prac – celów statusu tak wysokiego, jak nadawanie sensu ludzkiemu życiu, wydaje się programem mało atrakcyjnym, zbyt minimalistycznym, trąci myszką o pozytywistycznej proweniencji. Może w protestanckiej części Zachodu byłoby to zjawisko kulturowo „normalne", ale nie dla Polaka, który (jak mówił filozof Kotarbiński) „wielki duchem nie dba o to, co mu się plącze po podłodze".

A jednak Śmieja – Ślązak – Polak – Kanadyjczyk uparł się, aby szukać wielkości właśnie tam, gdzie rzadko kto jej szuka – w zwyczajności, w codziennym trudzie ludzi. I jest to jeden z solidnych fundamentów także polskiej tradycji, tradycji nazywanej ludową w opozycji do tradycji szlacheckiej.

Jeśli więc ten twórca szuka wielkości, to raczej w „małym" – w tradycji codziennej solidnej pracy. Właśnie tam, bo „małe" , ex professo, z racji swojej natury małego, jest osiągalne – realne,

namacalne, prawdziwe, od setek lat wypełniające życie tzw. zwyczajnych ludzi. Stara maksyma „ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka” jest przekonaniem mocno zakorzenionym w myśleniu poety.

Dzięki temu programowi – jak sądzę – trudy życia, wojenny szok, powojenna dynamika światów „tutaj” i „tam” były także łagodzone jak każde inne cierpienie. Bo jest to program codziennej krzątającej się dzielności, dyscypliny, racjonalnej hierarchii względów, balansu nie wykluczającego pisania wierszy.

Czy program Śmieji to mało? – mógłby ktoś zapytać. Śmieja nie proponuje wielkich celów, wielkich sensów. Raczej solidność wszystkich naszych dziennych spraw, sens małego, ale możliwego do zrealizowania, możliwego do wypełnienia i nadania ludzkiemu życiu godnego kierunku. Czy nie tędy droga? Zwłaszcza po tylu bolesnych mitologicznych za-czarowaniach i rozczarowaniach?

Jednym z głównych elementów różnicujących postawy twórcze polsko-kanadyjskich poetów jest w moim przekonaniu zagadnienie „sensu”. Rozumienie i NIErozumienie, wątpliwości, artystyczne rozstrzygnięcia i niedopowiedzenia są uobecniane w dorobku każdego z poetów. W całościowym oglądzie można umieścić Iwaniuka, Bieńkowską na jednym krańcu (z jego

przekonaniem o bezsensie świata i człowieka), Śmieję na zupełnie odległym i przeciwnym końcu. Czaykowski, Busza, Ihnatowicz znaleźliby się pośrodku, choć wcale nie w jednym i tym samym miejscu. Ci ostatni są ciągle w drodze. Są bardziej bohaterami wypraw po „złote runo” niż ofiarami wypraw (Iwaniuk, Bieńkowska), bądź, bez rezygnowania z dalekich wypraw, skrzętnymi gospodarzami sensu bliskiej, zapobiegliwej codzienności (Śmieja).

Staropolska biesiada a literatura

Staropolska biesiada.

Maria Wichowa

Sarmaci wielce cenili sobie życie towarzyskie. Znane jest powszechnie rozmiłowanie dawnych Polaków w ucztach, które były swoistymi ośrodkami organizującymi lokalne społeczeństwo ziemiańskie. Czasem stanowiły jedyne atrakcje towarzyskie w monotonnym życiu szlachty. Co prawda organizowano także polowania, grywano w szachy, ale naczelne miejsce w życiu towarzyskim zajmowało biesiadowanie.

Czym była staropolska biesiada? Wbrew pozorom pojęcie to nie jest całkiem jednoznaczne. Na ogół ten wyraz jest synonimem wystawnego przyjęcia, uczty, bankietu. W staropolszczyźnie istniały jeszcze inne odcienie znaczeniowe. Jeden z nich wskazał Filip Kallimach. Pisarz twierdził, że Grzegorz z Sanoka nie lubił ucztowania z Polakami. (…) Arcybiskup lwowski uważał, że jego rodacy biesiadowali wyłącznie dla dostarczenia przyjemności podniebieniu, on zaś życzyłby sobie, aby na takim zebraniu towarzyskim dominował ton intelektualny. Rzeczywiście w takich okolicznościach Sarmaci odczuwali potrzebę wymiany myśli, toteż wystawnej uczcie towarzyszyła rozrywka umysłowa, konwersacja, czasem tworzenie okolicznościowych wierszyków, doraźne inscenizacje parateatralne. Wszystko to miało sprawić przyjemność, być uciechą dla ucztujących, dodatkową atrakcją spotkania. Zaś Łukasz Górnicki użył wyrazu biesiada w znaczeniu „przednia zabawa”, gdy pisał: *Król miał niemałą biesiadę dworując z tych, którzy się o ten żart gniewali*.. Zatem nie jest to synonim uczty. Raczej jawi się tu aspekt rozrywki, krotochwili.

Rysunek Maja Berezowska.

(…) Zabytki literackie wskazują na jeszcze jeden odcień znaczeniowy tego wyrazu. Istnieje satyryczny wiersz Anonima – Protestanta pt. *Biesiada o dobrym gospodarzu*. Sarmaci używali

zwrotu *biesiada o*, który w tym wypadku oznaczał rozmowę towarzyską, żartobliwą, żart, rozrywkę, pogawędkę, dysputę. Zatem przytoczony tytuł jest już czytelny, ale nasuwa jeszcze jedną refleksję. Mianowicie rodzi się podejrzenie, że wyraz biesiada wolno traktować tak jak określenie: waleta, wotum, mesjada itd. To stanowisko da się wesprzeć świadectwem epoki. Otóż pewien pamiętnikarz staropolski, niejaki Paszkowski pisał o hierarchii gatunków literackich i tematów stawiając fraszki, pieśni obok biesiad, apelując: *„Czytelniku (...), a to uważaj, że dziś świat abo raczej ludzie na nim tak się barzo powikłali, że wolą Fraszki, Fronce, Biesiady, Pieśni wszeteczne, Sowizrzały, Marchołty kupować niżeli co poważnego”*. Zatem owe „Biesiady” były niepoważne, zapowiadały czy gwarantowały łatwą rozrywkę. Zapewne były to obrazki z życia towarzyskiego, jak wymieniony utwór Anonima – Protestanta, sceny zabawne, dostarczające powodów do śmiechu. Dobrze było, gdy je czytał zgromadzonym „człowiek biesiadny”, obdarzony licznymi przymiotami towarzyskimi, dobry kpiarz, gawędziarz, posiadający łatwość prowadzenia konwersacji.

Temat biesiady, opisy uczty pojawiały się bardzo często na kartach literatury staropolskiej. Może warto przypomnieć niektóre dzieła. Listę otwiera wiersz Słoty *O zachowaniu się przy stole*, umieścić na niej wypada wspomnianą biografię Grzegorza z Sanoka pióra Kallimacha, liczne utwory poezji renesansowej z *Pieśniami* i *Fraszkami* czarnoleskimi włącznie i wyakcentować

istnienie *Biesiady o dobrym gospodarzu* Anonima Protestanta, wiersza zasługującego na uwagę badacza, wskazać bardzo liczne reprezentowaną poezję ziemiańską, uwzględniającą temat uczty, a więc choćby H. Morsztyna *Dobrą myśl ochotnego gospodarza*, O. Karmanowskiego *Wesele towarzyskie*, S. Mińskiego *Żywot ziemiański*, S. Słupskiego *Zabawy orackie* i wiele innych. To poetyckie obrazki pokazujące obraz ziemiańskiej szczęśliwości ze szczegółami z jej życia wziętymi. Kapitalnym źródłem wiedzy o biesiadach Sarmatów są pamiętniki, choćby J. Ch. Paska czy K. Zawiszy.

Pełny opis uczty, od przyjazdu gości do zakończenia zawiera wiersz Anonima – Protestanta. Zasługuje on na uwagę jako utwór „nietypowy", tzn. w powodzi zachwytów szlacheckich autorów ideologią życia „na wsi spokojnej" jest odmienny, względem ziemiańskiej idylli nastawiony krytycznie. Krótko mówiąc mamy do czynienia z satyrą na sarmacką biesiadę.

Utwór ma ciekawą kompozycję. Poeta chętnie posługuje się mową pozornie niezależną i obficie cytuje wypowiedzi gospodarza biesiady, który za zachowaniem ogólnie przyjętego ceremoniału oczekuje przybycia gości. A że mamy do czynienia z satyrą, to przykładamy właściwą miarę do wyznania właściciela dworku: *Samym się sobą w tym dworzyszczu brzydzę*. Jednak z pewnością jest tu echo obyczajowości szlacheckiej, nakazującej gościowi „nieba przychylić", byle było mu dobrze u gospodarzy.

Trzeba pamiętać, że gościnność nakazywała panu domu wielkie staranie o wygodę odwiedzających, a uchybienie w tym zakresie kompromitowało pod względem towarzyskim.

Staropolska „nauka o grzeczności” wielkie obowiązki nakładała na przyjmującego odwiedzających. Nakazywała mu okazywać radość z przyjazdu gości, serdeczność, życzliwość, opiekuńczość. Był zwyczaj obfitego karmienia, obdarowywawnia, czynienia tysiąca uprzejmości. Przysłowie „gość w dom, Bóg w dom” jest kwintesencją tego zjawiska.

Autor przytacza wyznanie gospodarza uszczęśliwionego przyjazdem gości, a następnie referuje jego ostatnie, pośpiesznie wydawane zarządzenia, aby dbać o ciepło w mieszkaniu, aby sprawnie i szybko przyrządzić poczęstunek, nakryć do stołu, przygotować miejsce i pokarm dla przyjezdnych koni, a nawet omieść śliskie schody, dbając o bezpieczeństwo przyjezdnych. „Cytuje” też słowa powitania, bardzo znamienne dla staropolskiej gościnności.

> Witajcież, moi łaskawi panowie,
>
> Ktorych ja zawsze mile oczekiwam,
>
> A stąd niemałej radości używam

> Bo kiedy już was, panów swych nie widzę,
>
> Samym się sobą w tym dzworzyszczu brzydzę,
>
> Pójdźmy do izby, niż będzie gotowo,
>
> A rzeczcie sobie jakie dobre słowo.
>
> (w.: 30 i n.)

Z zacytowanego fragmentu wynika, iż staropolska gościnność wymagała bardzo wiele od gospodarza, jeśli chciał uchodzić za człowieka znającego się na grzeczności. Otóż pan domu musiał zapewnić, że przyjezdni byli mile oczekiwani, sprawili mu swym przybyciem wiele radości, że podczas przyjęcia goście mają we władzy gospodarza, który wszelkimi znanymi sobie sposobami zabiega o zapewnienie im wygód i przyjemności, różnych rozrywek, dobrej atmosfery wbrew oczekiwaniom czytelnika satyry. (...) Gospodarz, całkowicie skoncentrowany jest na zapewnieniu gościom wszelkich przyjemności i atrakcji, częstuje trunkami, każdego według jego upodobań:

> Są też i księgi, jeśli kto chce czytać,
>
> Jest i kałamarz, kto ma pozew pisać,

(…)

Jest kreda: kto chce, niech ściany maluje;

Niech to wątpienia nie czyni nikomu:

Wszystkim waszmościom radem w swoim domu.

(w.: 41 i n)

Rysunek Maja Berezowska.

Zaproponowane rozrywki były chętnie akceptowane (jedni się do kredy rzucili, drudzy w pozwy uderzyli), wiele rymów na ścianach uwieczniono, szlacheckie krasomówstwo prezentowane było w układanych pozwach, natomiast nic autor nie pisze o tym,

czy znaleźli się miłośnicy czytania ksiąg. (…) Zapewne też opowiadano żarty, anegdoty (pieśni, wygłaszano zabawne przemówienia. Pamiętnikarze podają, że biesiadom często towarzyszyły polowania, gry w szachy, kuligi itp. K. Zawisza: *1695: W Berdyczowie stanąłem*).

Należało umyć ręce. Wbrew pozorom, wzmianka o tym zwyczaju nie stanowi chłodnej relacji „o zachowaniu się przy stole" lecz jest jego krytyką. W czasach Anonima Protestanta uważano mycie rąk przed posiłkiem za przesadę. Zwyczaj ten przybył z zagranicy i nie łatwo zakorzeniał się przy sarmackich biesiadach. Zatem miało być na opisywanym przyjęciu niezwykle wytwornie, gospodarz nie uchybił żadnemu ze swych obowiązków, znał i stosował dworne obyczaje. Goście również. W oczekiwaniu na podanie mis panowie dystyngowanie gładzili brody, wszyscy biesiadnicy dbali o nienaganne maniery. Zdaje się, że to „dworstwo obyczajów" było przestrzegane tylko na początku przyjęcia. Do ceremoniału należało podanie wilkoma, pucharu, „którym nowego gościa witano, a ten go całkiem spełnić musiał". Kielich ten bywał wielkich rozmiarów, czasem mieścił garniec napoju. Podobne obyczaje panowały w Rzeczypospolitej Babińskiej. Burgrabia tego wesołego towarzystwa podawał kandydatowi na obywatela Babina wilkom, który trzeba było wychylić do końca. Zdaje się, że obyczaj szanowano, ale nie budził entuzjazmu spełniających toast tym pucharem, o czym świadczy fraszka Kochanowskiego:

> Skarżysz się, że cię wilkom ktoś wczora pić musił
>
> Który cię wilk chrzypotą o włos nie zadusił,
>
> Ale się dobrze skarżysz, wszak to pospolita
>
> Wilkowi, że za gardło każde bydlę chwyta.

Spełniono wiele innych pucharów i toastów. Grzeczność nakazywała, aby kierowano je do gospodarza, z którym „przepijano”. Sporo uwagi poświęcił „nalewaniu i przepijaniu” H. Morsztyn w *Dobrej myśli* konkludując „Wszyscy dziś podpijemy sobie”.

W analizowanym wierszu Anonima Protestanta:

> Jednemu zatem wilkom przyniesiono,
>
> Ale iż prosił zaś odpuszczono.
>
> Bo tego wszystkim gospodarz pozwolił:
>
> Pij, co kto raczysz!

(…) Anonim Protestant nie zamieścił w *Biesiadzie o dobrym gospodarzu* opisu uczty, podawanych napojów i potraw, a tego rodzaju relacje pojawiały się w staropolskiej poezji ideałów ziemiańskich. Olbrycht Karmanowski w wierszu *Wesele towarzyskie* przedstawił dość dokładnie przyjęcie weselne zaś mniej szczegółowo podawane tam potrawy, zwrócił też uwagę na ceremoniał weselny.

> A ty, krajczy wprzód mięso postaw do rosołu!
>
> Potem niecha z korzeniem co ciepłego dają:
>
> Są kuny, jest zwierzyna, i flaki być mają.
>
> (w.: 18 i n.)

Rysunek Maja Berezowska.

W „drugim noszeniu mało było „warzystego, więcej pieczystego”. Zatem dość pobieżnie poeta zainteresował się tym, co zawierały misy i puchary weselne, bardziej skupił uwagę na przebiegu uroczystości i związanych z nią obrzędach. Wszystko to

zaprawione jest lekką ironią.

Natomiast prawdziwą ucztę dla podniebienia szczegółowo zrelacjonował Hieronim Morsztyn w wierszu *Dobra myśl ochotnego gospodarza*. Kurczęta, gęś, kapłony, kura w żółtej jusze, a druga „słodziusieńko z piotruszką usmażona”, „kąsek borowej zwierzyny”, torty, pasztety z kreplami, kołacze z cukrem, z rodzynkami, gorzałeczka, wino, mięso wszelkie, ryby: łosoś, lipienie, rosła szczuka (szczupak), cielęciny sztyka, bażant, sałata z ogórkamu (choć w tym szlachta mniej gustowała), miski z kiełbasami, przypiekane małdrzycki, miód w domu sycony. Przy tak zastawionym stole brać szlachecka „rześko piła”. Wszystkie podane przez Morsztyna szczegóły miały uzmysłowić czytelnikowi, jakich rozkoszy dostarcza ziemianinowi przebywanie w wiejskiej Arkadii, jak błogo i wesoło płynie życie, jak urozmaicone i pożądane są spotkania towarzyskie, ile wtedy zakosztować można rozkoszy podniebienia. Produktów do sporządzenia opisanych przysmaków dostarcza dobrze prowadzone gospodarstwo ziemiańskie. (…)

Rysunek Maja Berezowska.

Oddajmy głos pamiętnikarzowi, który był wielkim panem, należał do elity towarzyskiej, pijał z samym królem. Mowa o Krzysztofie Zawiszy, wojewodzie mińskim, żyjącym w latach 1666 – 1721.

> 1697 29 XII s. 52 [Król] w Sławkowie traktował senatorów, i z innymi i z nami stanu rycerskiego napił się do woli. Był tam od JP Lubomirskiego, marszałka nadwornego koronnego, ambasador JP Pborski, starosta liwski, z przeprosinami od pana posłany, który napiwszy się różnie i nieprzystojnie występował, za co był konfundowany.

Innym razem pamiętnikarz pisał o swoich imieninach:

> 1698, lipiec
>
> 25 na św. Krzysztof hojnie traktowałem: był u mnie JP wojewoda miński, który mię dobrze wiązał; była okolica wszystka. Ten dzień na wielkiem pijaństwie odprawiliśmy.

A tak oto Zawisza relacjonował atmosferę zabawy karnawałowej w 1699 r.:

> 24 I
>
> Zapusty odprawiłem u siebie w Rohotnej w kompanii arcydobrej (..). Dziwnie hulaliśmy wesoło, żartowali, pili niezmiernie, tańcowali do upaści i nóg bolenia; jeździliśmy

> po nocy kulika itd. We środę goście późno bardzo rozjechali się (…). Po tych dniach całe dwa dni leżałem.

Nawet król był zmuszony przyjąć obyczaj swoich sarmackich poddanych:

> 19 czerwca 1699
>
> z królem na pokoju upiłem się do sytości, wino wprzódy, potem gorzałkę pijąc, czyli dubl (double) anyż, któregośmy z królem po razy pięć napili [się].

Wojewoda miński nie uznałby za godnego partnera do kielicha zacnego Piotra Rozjusza, wstrzemięźliwego doktora Hiszpana z fraszki Kochanowskiego, który chciałby poprzestać na jednej szklanicy wina, ale weseli kompani nakłonili go do wychylenia dziewięciu, po których „mózg się mu zmącił”. (…)

Rysunek Maja Berezowska.

Czasem biesiadę urozmaicała maskarada. Pisał o tym mi. im. Zawisza:

> 25 XII 1694
>
> Na Boże Narodzenie byliśmy u JP cześnika w Indurze; był JP strażnik, JP Massalski, chorążyc grodzieński itd. Dni i nocy na biesiadach w miłej konwersacyi trawiliśmy. Tamże i sceny różne wyprawowano, między któremi najlepiej swoją udał p. Bury, pokojowy JP strażnika, ubrany po białogłowsku, mający na stronie osobę damy lubieżnej; udał także swoją scenę i p. Blinstrup, także pokojowy JP strażnika ubrany za cygana: tenże potem służący niby semikowemu szlachcicowi panu Trzeciakowi.

Jak wynika z opisu był to rodzaj widowiska ponad teatralnego, forma zabawy, w której brali żywy udział zarówno „aktorzy” jak i „widzowie” i gdzie trudno wskazać granicę między „nadawcą” i „odbiorcą” „programu rozrywkowego”. Forma rozrywki nie wychodzącej poza ściśle określoną społeczność biesiadników, występ jednorazowy, związany z konkretną sytuacją towarzyską, w której zaistniał. Zapewne w takich momentach mógł w pełni wykorzystać swe talenty człowiek biesiadny. (…)

> Gospodarz baczny, mając to na pieczy,
>
> Aby wżdy takie zawiedziono rzeczy,

> Ku złemu końcu tak nie przychodzili,
>
> Zwłaszcza gdy starszy tej roty nie bili,
>
> Koło nich chodząc, tak tego przestrzegał.
>
> By się ten dalej ogień nie zażegał.
>
> Cudnymi często słowy napomniał,
>
> By w domu jego nikt nic nie poczynał,
>
> Co by tuż przy nim komu szkodzić miało,
>
> Mieniąc, że by go to boleć miało.
>
> (w.: 219 i n.)

(...) Autor *Biesiady...* doskonale znał rzemiosło satyryka. Współczesne mu poetyki (Scaliger, Pontanus) dostarczały niezbędnej wiedzy o tym gatunku, a wspierała je owocnie praktyka pisarza. Refleksja teoretyczna o satyrze pojawiła się w Polsce w XVII w. Łukasz Opaliński istotę tego gatunku wyjaśnił następującymi słowami:

> Jeżeli zaś daje
>
> Słuszną naganę albo obyczaje
>
> Ostrą satyrą sądzi i strofuje,
>
> Przymawia albo drwi, szydzi, żartuje,
>
> To tak w lat czyni, tak piórem maluje,
>
> Że prawdziwego nic się nie znajduje.
>
> (w. 147 i n.)

(…) U Kitowicza, Paska, Rzewuskiego zapoznać się można z rytuałem biesiadnym XVII i XVIII w., w którym szacunkiem darzono „tęgie głowy”, nadzwyczaj wytrzymałych pijaków, bijących rekordy spożycia trunków, z uznaniem pisano o pijackich figlach, z zainteresowaniem słuchano opowieści o tym, co też się działo na sławnych biesiadach, choćby u księcia Karola Radziwiłła „Panie Kochanku”. A miały miejsce ekscesy tak zdumiewające, że nawet satyryczna wyobraźnia Anonima Protestanta nie byłaby w stanie takich scen wykreować, w wieku XVI, kiedy to biesiadowali „poćciwi” sarmaci.

Danuta Irena Bieńkowska (1927-1974)

Florian Śmieja

Danuta Irena Bieńkowska

Powtarzamy zazwyczaj, że pamięć ludzka jest krótka, ułomna, a zdarza się, że wcale nie zainteresowana, by zachować zapis niektórych wydarzeń i ich aktorów. Dawniej prasa poświęcała mu swoje kolumny pieczołowicie odnotowując z kronikarskiego obowiązku zgony i dokonania zmarłych. Dziś ambitnej prasy jest co raz mniej, gazety proponują sensację i rozrywkę, nietrwałe

felietony i efemerydalną sieczkę. Utrwalanie ważniejszych zaszłości, przegląd wybitniejszych postaci, które przewinęły się przez scenę, nie obowiązują. Jeżeli jeszcze dodać brak dobrej woli, zapomnienie grozi wielu dawniej respektowanym zwyczajom.

Była wśród nas w Toronto poetka i nauczyciel akademicki Danuta Irena Bieńkowska (1927-74). Choć umarła młodo tragiczną śmiercią, zapisała się znacząco jako literatka i pedagog.

Urodziła się w Toruniu 7 grudnia 1927 roku w rodzinie zawodowego podoficera, lecz znalazłszy się w czasie wojny na terenach zajętych przez wojska sowieckie, została wraz z rodziną wywieziona do Uzbekistanu. a potem przez obozy uchodźców polskich przez Iran i Indie dostała się do Anglii. Krótkie dzieciństwo w Polsce miało się dramatycznie przemienić w tułaczkę na nieludzkiej ziemi, a potem, w orientalne niespodzianki Bliskiego Wschodu. Szczególnie zafascynowały ją Indie, których urok miał przetrwać do końca.

W Anglii podjęła studia literatury i języka rosyjskiego i angielskiego. Wyszła też za mąż, jak się miało okazać, nieszczęśliwie. Po przeniesieniu się do Kanady kontynuowała studia, a doktorat obroniła w Londynie, obierając za temat wczesną twórczość pisarską Stefana Żeromskiego.

W Toronto na uniwersytecie objęła lektorat języka polskiego, a później awansowała na profesora nadzwyczajnego. To ona opracowała i wprowadziła kursy literatury polskiej obejmujące teatr, prozę i poezję. Zajmowała się również folklorem słowiańskim. Dzięki jej wkładowi społeczność polska w Kanadzie doczekała się wprowadzenia języka polskiego do ontaryjskich szkół średnich.

Współpracowała z prasą emigracyjną. Drukowała w londyńskich "Wiadomościach", "Kontynentach", paryskiej "Kulturze" i torontońskim "Związkowcu" Dwa tomiki wierszy napisanych po polsku (pisała również po angielsku) pozwalają na wgląd w jej życie samotnicze, pełne rezygnacji i ataków choroby, a przecież pragnęła je rozegrać jak bajkę. Tak pisała w momentach optymizmu. Kiedy indziej odzywała się nuta niepewności:

> Między nocą a dniem,
>
> Między trwogą a nadzieją.
>
> Snuję, plotę swoje życie.
>
> I wyszywam biało-czarną nitką
>
> Linie kręte,splątane,

> Nigdy swego niepewne.

A potem była nawet prośba o tabletkę na śmierć. “Wiersze mi smutnieją pod piórem”, wyznała:

> I pochylają głowy
>
> Niedokończonych słów
>
> Jakby im zaciążył ten ból.
>
> Zaczęła jej doskwierać samotność, bała się nocy
>
> Jestem sama
>
> Bardzo sama
>
> Bez uniesień.
>
> Boję sie umierać na raty,
>
> Duchów w nocy,
>
> Snu.

Ale jeszcze się broniła, ogłaszała uczucia na sprzedaż, jak jabłka w koszu:

> Mam w sobie cały zapas
>
> Niezużytych uczuć.
>
> I uśmiecham się do kwiatow
>
> I do ptaków.
>
> Potem siadam przy oknie
>
> I czekam.
>
> Może nawet nie czekam
>
> Tylko trwam.
>
> Trwa we mnie czekanie
>
> Na jedno dobre słowo
>
> Które można zatrzymać

> Bez lęku.

Czekanie nie miało końca, bolała pustka. Zrodził sie lęk:

> Boję się samego siebie,
>
> Tej ręki, co mnie pcha
>
> W wielką niewiadomą
>
> W noc.
>
> Odsłonię wszystkie okna
>
> Otworzę wszystkie drzwi,
>
> Może uda mi się uciec.
>
> Już się ogień zapalił.
>
> Los zagląda przerz szyby,
>
> I zimnymi palcami puka.
>
> Boję się.

Raz po raz pojawiały się nuty rozpaczy. Czuła, że stała się zwiędłym, nikomu niepotrzebnym liściem.

> A potem się oderwę
>
> I wolno będę spadać
>
> Bez żalu i bez lęku
>
> W niebyt.

To prorocze spadanie miało się ziścić 9 lipca 1974 roku, kiedy zginęła w katastrofie kolejki linowej w norweskim Bergen.

Na szczęście, literacka puścizna Bieńkowskiej została opracowana z pietyzmem przez lojalnego kolegę profesora Bohdana Budurowycza i wydana w tomie “Między brzegami” przez Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy w 1978 roku. Profesor Louis Irribarne napisał solidny wstęp w języku angielskim. Edycja obejmuje poezję, wybór prozy oraz troskliwie zebraną bibliografię pism Bieńkowskiej. Ta książka, piękny hołd dla nieprzeciętnej postaci na arenie polskiego życia kulturalnego w Kanadzie, potwierdza gorzkie słowa epitafium „Pozostały po mnie wiersze…”, ale także, wbrew pesymizmowi, pamięć prawdziwych przyjaciół i wiernych czytelników.

Toronto, fot. Jacek Gwizdka.

Rysio. Wspomnienie o Ryszardzie Kapuścińskim.

Imieniny Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, Warszawa, II poł. lat 80., od lewej: prof. Jerzy Rutkiewicz, Ryszard Kapusciński, prof.

Marek Drozdowski, fot. arch. A. Z.-B.

W dziesiątą rocznicę śmierci.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Melchior Wańkowicz opowiedział mi, że poznał Ryszarda Kapuścińskiego w mieszkaniu na Puławskiej 10, że przyprowadziła go i przedstawiła Krystyna Goldbergowa, opiekunka reporterów i znawczyni gatunku reportażu.

Opowiedział mi przy tym zabawną anegdotę, którą zupełnie inaczej przedstawiła Goldbergowa w dzień pogrzebu Kapuścińskiego, gdy czytano jego wiersze w „Gazecie Wyborczej". Nie chcę tej anegdoty teraz prostować. Rysiowi kilka lat temu powtórzyłam to, co opowiedział mi Wańkowicz, a teraz zatelefonowałam do Pani Krystyny, że znam inną wersję, opowiedzianą mi przez pisarza. Zostawiłyśmy ten temat „na boku".

W archiwum Wańkowicza zachował się numer "Nowych Książek" (Nr 3, 477, 15 luty 1970), w dużej mierze poświęcony Kapuścińskiemu, z jego fotografią na okładce. W tymże numerze Wańkowicz tak napisał o dwóch książkach Kapuścińskiego (str.177):

Książka Ryszarda Kapuścińskiego pt. „Gdyby cała Afryka…” to wytrawny rezultat wieloletniego pobytu w Afryce. (…) Walor książki polega na tym, że autor zna Afrykę w głąb. Stąd lekkość i celność analogii, stąd szeroki wachlarz wiadomości zarówno o rozrzutności władców połączonej z prymitywizmem, jak i o zabobonach ich poddanych. Kapuściński nigdzie nie da się za daleko zapędzić w anegdoty, choć umie się nimi posiłkować. Ani nigdzie nie przybiera tonu łaskawej pobłażliwości białego człowieka.

Książka „Kirgiz schodzi z konia”…… Ileż Kapuściński nałapał zapachów ciągnących z Gruzji, Armenii, Azerbejdżanu, Turkmenii, Tadżykistanu, Buchary! Potwierdza swoją książką, że dobry reportaż potrzebuje również artystycznych witamin.

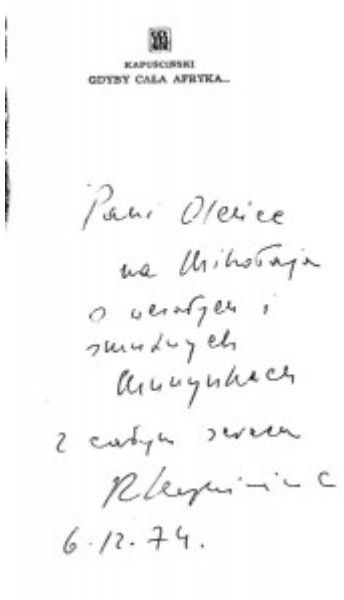
KAPUŚCIŃSKI
GDYBY CAŁA AFRYKA...

Pani Olenice
na Mikołaja
o wielkich i
zwykłych
kłopotach
z całym sercem
Kapuściński
6.12.74.

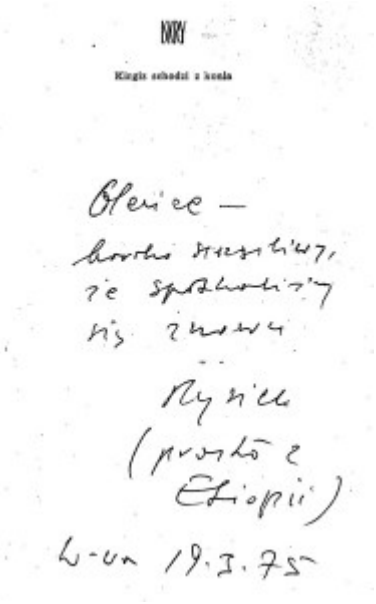
Kiedy schodzi z konia

Olenice —
bardzo szczęśliwy,
że spotkaliśmy
się znowu
Ryszard
(prosto z
Etiopii)
W-wa 19.I.75

Ryszard Kapuściński po śmierci Melchiora Wańkowicza napisał w warszawskiej “Kulturze” (22 września 1974):

> Kiedyś Wańkowicz napisał o sobie pół żartem, pół serio, że jest „pierwszym pisarzem polskim pracującym na zamówienie społeczne”. Był mistrzem reportażu, a reportaż z samej swojej istoty jest formą odpowiadania na zamówienie

> społeczne. Najlepszym przykładem jest jego przedwojenna jeszcze rzecz, o polskim wysiłku gospodarczym. „Sztafeta” to pierwszy w naszej literaturze wielki reportaż – produkcyjniak, który tak upowszechnił się w Polsce po wojnie i stanowi do dziś ważny nurt literatury faktu. U początków tego nurtu stoi wańkowiczowska „Sztafeta”. Wańkowicz zachęca przyszłych reporterów: nie bójcie się cyfr, to wszystko jest ważne, to ma swoją wymowę, ma znaczenie i dla tych, którzy tworzą kraj i dla tych, którzy o tym czytają. I żeby zachęcić najlepiej, bo własnym przykładem, gromadzi w „Sztafecie” tysiące informacji – ile ziemi wykopano pod fundamenty, ile wagonów cementu przewieziono, ile wyprodukujemy stali, do czego ta stal będzie użyta. Tony, hektary, metry, ceny – wszystko dokładnie wyliczone. Ale w tej powodzi cyfr, wyliczeń, statystyk, jest zawsze miejsce na żywą scenkę, na głos ludzki, na las, na człowieka i na tego zająca w Stalowej Woli, który „sadzi wyrwą między rosnącymi blokami”.

Ryszarda Kapuścińskiego poznałam u Zenony Macużanki, ówczesnej redaktor naczelnej „Nowych Książek”, niebawem po śmierci Wańkowicza, jesienią 1974 roku. Był znany jako „doskonały reporter”, ale nie był jeszcze autorem „Cesarza”, pierwszej książki, która zyskała szczególną uwagę i uznanie.

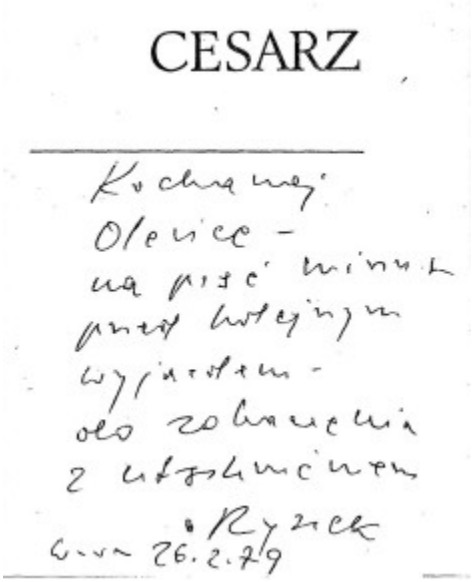
CESARZ

Kochanej
Olenice –
na pięć minut
przed kolejnym
wyjazdem –
do zobaczenia
z utęsknieniem
Ryszek
Gdańsk 26.2.79

Zwróciłam uwagę, jak serdecznie, delikatnie się odnosił do innych ludzi i do mnie, wtedy bardzo młodej, świeżo po studiach osoby. W tym okresie byłam swoistą, o ile tak mogę napisać, sensacją. Kilka tygodni wcześniej zmarł wielki pisarz, i jak się dowiedziano, w testamencie zapisał młodziutkiej asystentce swoje archiwum. Wcześniej zadedykował mi drugi tom „Karafki La Fontaine'a" (*…..bez której oddanego współpracownictwa, byłaby to jeszcze gorsza książka*, jak zabawnie napisał).

Niektórzy byli mnie ciekawi, zapraszali na spotkania, przy okazji wypytywano o Wańkowicza: jaki był "na co dzień". Nie chciano słuchać o pomniku, chciano słuchać o człowieku.

Odpowiadając na to zainteresowanie, zachęcona przez przyjaciół (Michała i Krystynę Radgowskich), także wydawcę (Andrzeja Kurza z Wyd. Literackiego) zaczęłam pisać książkę. Chciałam

utrwalić chwile, które szybko zacierają się w pamięci. Nie zastanawiałam się, czy burzę jakiś mit, czy też tworzę nowy, nie chodziło mi o syntezę jednego życia, lecz raczej o ukazanie wielu dni powszednich z ostatnich lat wielkiego pisarza. Książka stała się zapisem wydarzeń, anegdot z życia w bliskości pisarza. Kiedy zastanawiałam się jak książkę nazwać, zapamiętałam radę właśnie Ryszarda Kapuścińskiego. – Musisz umieścić w tytule nazwisko Wańkowicza. Tytuł powinien być krótki, zatem dodaj jeszcze jedno słowo, na przykład: obok, blisko. Lepiej brzmi: blisko. I tak Kapuścińskiemu zawdzięczam tytuł swojej pierwszej książki. ”Blisko Wańkowicza” wydało krakowskie Wydawnictwo Literackie w trzech wydaniach i ogromnym nakładzie. Do dzisiaj wielu czytelników pamięta moją pierwszą książkę.

Kapuściński mówił mi, że będąc polonistką, nawet z doktoratem, trudno jest nadążyć za literaturą polską i światową. Dobrze więc, gdy się ma temat wybrany, na przykład pisarza, na którego twórczości się dobrze zna.

Po latach, kiedy w 2005 roku mówiono o jego kandydaturze do Nobla, Kapuściński w portrecie/wywiadzie Bartosza Marca dla „Rzeczpospolitej” stwierdził, że spośród polskich reporterów za swoich mistrzów uważa Melchiora Wańkowicza i Ksawerego Pruszyńskiego. Powiedział także:

> Aleksandra Ziółkowska-Bohem, sekretarka Wańkowicza, zapamiętała jego rady: powinno się mieć swoją pasję, znaleźć dziedzinę, w której jest się ekspertem i o której chce się wiedzieć coraz więcej. (Przyp. Bartosz Marzec, ZARYZYKUJ WSZYSTKO, Plus Minus, RZECZPOSPOLITA, Nr 236, 10 sierpnia 2005, str. 7).

Na orzeczenie Nagrody Nobla czekałam, zdając sobie sprawę, jak uhonorowałoby to także literaturę faktu. Zmienia się świat, i zmienia się Polska, pamiętam, jak Kapuściński powiedział mi w początkowych latach 70., że odmówiono mu przynależności do ówczesnego Związku Literatów. Niedługo później każdy związek twórczy w Polsce i na świecie będzie dumny, że wielki reporter zechce być jego członkiem.

Przyjaźń z Ryszardem Kapuścińskim rozwinęła się i stała się jedną z cenniejszych i ładniejszych, jaką mi dobry Los ofiarował. Przetrwała ponad 30 lat, aż do mojego przyjazdu do Polski na stypendium Fulbrighta, kiedy mogłam osobiście uczestniczyć w jego pogrzebie.

Rysio, przez te wiele lat, do mojego wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, przychodził w końcu lutego na imieniny. W czasie dość licznego zgromadzenia mój mały wtedy synek, szedł do swojego pokoju i siedział sam. Tam właśnie przychodził do

niego Rysio, jeden jedyny, który dostrzegł swoistą izolację i nieśmiałość dziecka. W pokoju Tomka, na ścianie wisiała duża mapa świata. Rysio mówił mu, że marzenia o podróżach można spełnić, że można pojechać wszędzie, na przykład do Afryki.

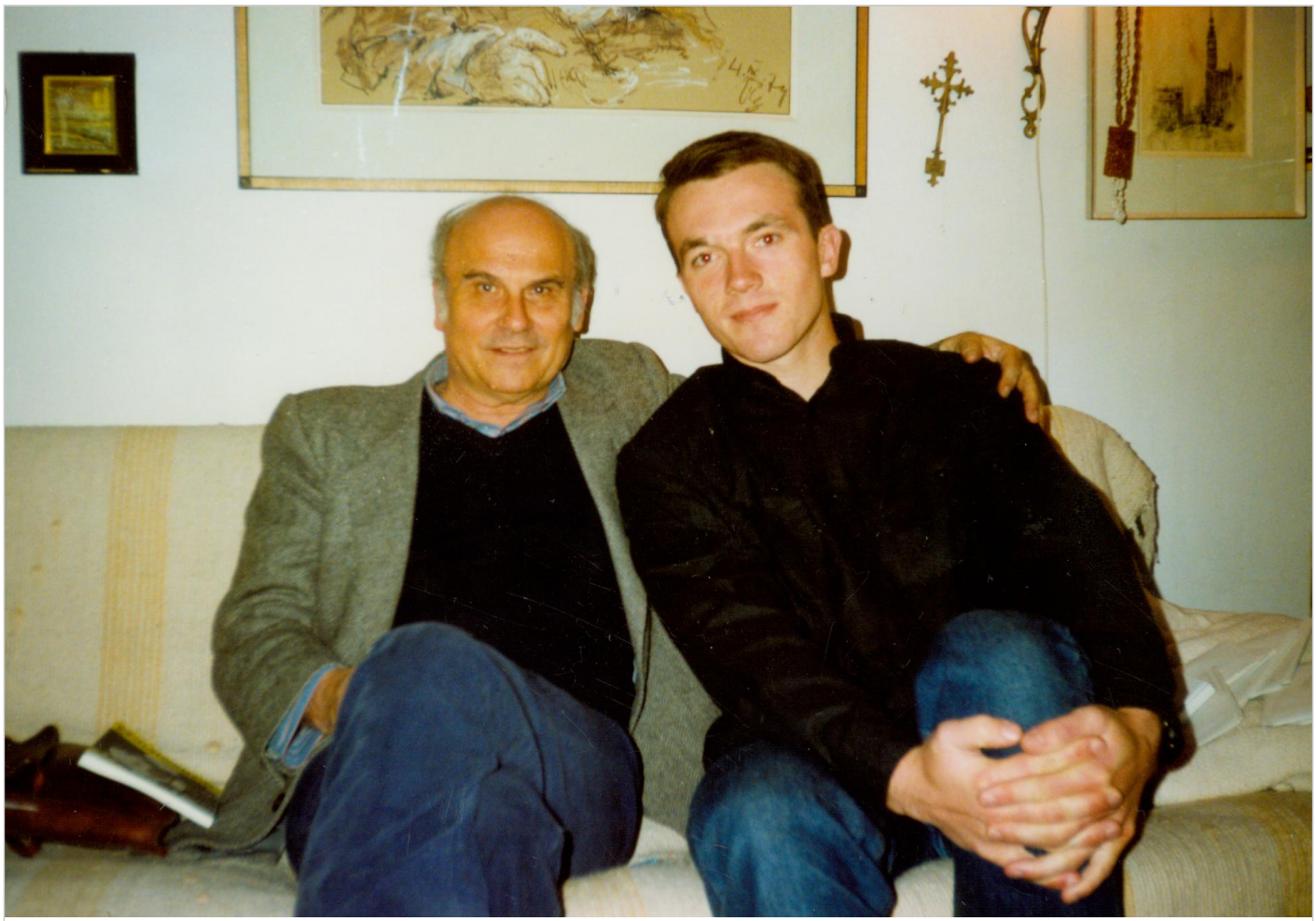

Ryszard Kapusciński wraz z synem Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, Tomaszem Tomczykiem, Warszawa, 7.11.1990 rok, fot. arch. A.Z.-B.

Tomek jest teraz dziennikarzem, podróżnikiem, właścicielem własnego pisma na Karaibach. W Afryce był kilka razy, pracę

magisterską pisał o rozbudowującej się kolei w Erytrei, w „Polityce” wydrukował duży reportaż „Sudańska fabryka głodu”.

Rysio pokazywał małemu Tomkowi swój…”bokserski nos”, mówiąc, że mu usunięto chrząstkę, gdyż w młodości uprawiał boks. (Dorastający Tomek także między innymi sportami zajął się boksem).

Jesienią 1975 roku pożyczyłam Rysiowi niedużą walizeczkową maszynę do pisania. Była to metalowa szwajcarska maszyna marki „Hermes”. Miał jakiś kłopot ze swoją, a to była słynna maszyna Wańkowicza, o której pisarz pisał, że przeszedł Dniestr, niosąc ją wysoko w rękach. Powiedziałam, aby mu przyniosła szczęście. Rysio zwrócił mi ją po powrocie z Angoli. Mam tę maszynę u siebie w warszawskim mieszkaniu.

Żona Ryszarda, Alicja Kapuścińska, z zawodu lekarz pediatra, była zaprzyjaźniona z lekarką mojego Tomka, dr Reginą Wańkowicz-Ponurską (kuzynką Wańkowicza). Spotykałyśmy się na wystawie fotografii Kapuścińskiego, a także u mnie na warszawskim Mokotowie przy ulicy Kmicica. Alicja przychodziła na moje spotkania autorskie. Miałam także okazję rozmawiać z Zojką, córką Rysia i Alicji, która mieszkała lata w Kanadzie. Podobnie, jak siostra Ryszarda, mieszkanka Vancouver.

Rysio miał w sobie delikatność, swoistą chłopięcość, która nie

mijała z latami. Miał też skromność, i jednocześnie szczególną emocjonalność, którą widać w pięknych, niemal osobistych, dedykacjach. Ale takie właśnie pisał. Ceniło się nie tylko jego książki, ale to, jakim był człowiekiem. Miał rzadką cechę całkowitego skupienia się na osobie, z którą rozmawiał. Pytał każdego o jego sprawy, wiedział, jakie są ważne dla jego znajomych i przyjaciół. A miał ich całe rzesze. W autobiograficznej książce „Ulica Żółwiego Strumienia”, której pisanie było dla mnie swoistą terapią „polsko- amerykańską”, pisałam o Rysiu, że podziwiam u niego „dyplomatyczne umiejętności gromadzenia wokół siebie wielu przyjaciół”.

Projekt: Szymon Kobyliński

Miał zwyczaj dawania znajomym do lektury, z prośbą o komentarz, swoją przyszłą książkę. Dawał mi do czytania wiersze, czy np. Lapidaria. Pierwszy tom Lapidariów trochę mnie zaskoczył. W formie dziennika prowadził zapiski myśli, skojarzeń, uogólnień, trochę notatek. Pisał na przykład, że warunkiem ujarzmienia społeczności jest zepchnięcie jej na niski poziom egzystencji. Zmniejszenie wygody, zwiększenie zagrożenia jest następstwem polityki tych, którzy chcą umocnić swoje panowanie. Wiedzą oni, że człowiek wyczerpany walką z tysiącem przeciwieństw jest łatwym obiektem manipulacji. Walka dla człowieka to przetrwanie, a jest to zajęcie absorbujące, czasochłonne, wyczerpujące. Pisał, że zarówno ubóstwo potrzeb, jak i ubóstwo materialne są wygodne dla władzy. Bieda osłabia i przygniata człowieka, a ktoś, kogo potrzeby są ubogie, nawet nie wie, że istnieją rzeczy, których mógłby się domagać, walczyć o nie. Nasze ocalenie? – W dążeniu do rzeczy niemożliwych do osiągnięcia. Według mnie Rysio właśnie sobie umiał stawiać cele, jakby niemożliwe do osiągnięcia.

Kiedy po ponad dwuletnim pobycie w Kanadzie na Boże Narodzenie 1983 roku wróciłam do Polski, rzeczywistość dalece odbiegała od obecnej. Pewnego dnia zatelefonował Rysio.

– Wiesz, nie mam wody w mieszkaniu… – powiedziałam.

– To normalne, nie przejmuj się. Mój kolega nie ma ogrzewania,

cały dzień w wannie siedzi.

– Może grzać ręce nad gazem, słyszałam, że tak ludzie robią…

– Ale lepiej, jak wyłączą ciepłą wodę niż zimną, bo we wrzątku nie będziesz się myła…

– Ale ja w ogóle nie mam wody, wyłączyli, bo jakaś awaria. Przynosimy z Tomkiem wodę w wiaderkach z cysterny, którą podstawiono. Przed blokiem kałuża, bo woda wylewa się, wszystko zamarzło…

– Ludzie będą nogi łamać, gips będzie potrzebny, gipsu nie ma, bo nie ma dewiz…

W 1984 roku odwiedził Warszawę senator kanadyjski (polskiego pochodzenia, napisałam o nim książkę) Stanley Haidasz. Zaprosił mnie i Tomka na kolację, Rysia zaprosiłam także.

Z Haidaszem, Rysiem i z Tomkiem pojechaliśmy na kolację do „Baszty” pod Warszawę, Rysio zmienił w ostatniej chwili stolik (z ostrożności). Mówił, że Polska nie oczekuje takiej pomocy, jak kraje afrykańskie, nie potrzebuje np. kaszy, czy butów, bo tutaj ludzie nie umierają z głodu. Trzeba sobie zdać sprawę, jak ocalić naukę, dostęp do literatury, osiągnięć Zachodu. Przerwano prenumeraty pism specjalistycznych, bo nie było dewiz. Co

stanie się z myślą techniczną, z nauką, medycyną, jeżeli nie będziemy wiedzieli, co dzieje się u innych, odcięci od literatury naukowej, podkreślał Kapuściński.

Senator Haidasz powiedział, że więcej dowiedział się od Kapuścińskiego niż od wszystkich ludzi, z którymi spotkał się wcześniej.

I pisma naukowe otrzymały dotacje. To się zawdzięcza Ryszardowi.

W 1984 roku literaci, artyści nie pracujący na etacie mogli otrzymać specjalne zaświadczenia z urzędów dzielnicowych, które pozwalały im na opiekę lekarską. Na warszawskim Mokotowie pracowała Wanda Rogowiczowa, wdowa po tłumaczu, urocza siwa pani z piękną kartą wojenną. Poszliśmy do niej na Rakowiecką. Ryszard mieszkał na Woli, ale przyrzekła zatelefonować na Wolę, by mu załatwili „druczek”. W trakcie rozmowy spytała. – Dlaczego pan nie mieszka na Mokotowie? My tu dbamy o ludzi… Potem zapytała, gdzie się urodził. Kiedy w odpowiedzi usłyszała, że w Pińsku (ona koło Nowogródka), że jest Poleszuk, to wstała i ucałowała go. Głaskała go po rękawie i zaczęli przekrzykiwać się we wspomnieniach. Była to cudowna scena. Wydała mu zaświadczenie. – Nie szkodzi, że nie z Mokotowa, biorę pana pod swoją opiekę – orzekła.

Kiedy wyszliśmy, powiedziałam wzruszona do Rysia:

– Popatrz, przepisy są w całym kraju takie same, ale zobacz, jaka może być różnica. Jak człowiek może być traktowany życzliwie, pomocnie.

– Oczywiście, tutaj jest jeszcze ciepło, którego nie uświadczysz na Zachodzie – powiedział.

Nie wiedziałam wtedy, że zamieszkam na stałe w Stanach Zjednoczonych.

Jadąc do Anglii, spytał mnie o moich przyjaciół, których odwiedzałam. Podzieliłam się londyńskimi adresami, telefonami. Urządzono mu prywatne piękne spotkanie, zachwyceni nim byli absolutnie wszyscy. Spotkał go duży sukces, pokazywano w BBC, gazety cytowały na pierwszych stronach. Powiedział mi po powrocie:

– Polska jest enklawą, jedynie jeszcze tu ludzie czytają książki. Na Zachodzie co godzinę wychodzi 180 książek, ale największą popularnością cieszą się filmy, kasety, wideo (…). Trzeba się zastanowić – jaki temat ma rangę światową i dopiero wtedy pisać. Co z tego, że powstanie jeszcze jedna powieść?…

W 1987 roku z Anglii przyjechał zespół Teatru Królewskiego ze

sztuką według książki Kapuścińskiego „Cesarz”, którą pokazano w teatrze „Studio”. Oboje z Tomkiem byliśmy zaproszeni przez Ryszarda. Rolę tytułową grał karzeł przykuty do wózka inwalidzkiego.

Pamiętam, jak Rysio autentycznie cieszył się swoimi pięknymi sukcesami w świecie. Przynosił w teczce książki – tłumaczenia. Wszyscy się z nim cieszyliśmy.

Przytoczę jego karteczki z końca lat 80:

> St. Anthony’s College, Oxford OX2 6JF England)
> Oxford, 10. 5.86
> Kochana Oleńko! Oxford tylko na pocztówce jest taki słoneczny, w rzeczywistości leje tu bez przerwy, jest zimno i pisząc do Ciebie siedzę w kurtce. Zmarznięty i z grypą, a jest chyba 10 maja. Będę tutaj do końca czerwca. Akurat wydali w Londynie „Szach-in-Szacha” (równocześnie wyszedł we Francji i RFN – z tego powodu mam ciągłe zawracania głowy o wywiady. Tutaj wykładam, czytam, mam wieczory autorskie – dużo wszystkiego. Co u Ciebie? Serdeczności dla Tomka!
> Całuje Cię i ściskam najmocniej.
> Rysiek

Ryszard Kapuściński
St.Antony's College
Oxford OX2 6JF
England

Pocztówka z Gubałówki bez daty (koperta się nie zachowała)

> Oleńko, słonko złote – dzięki za uroczą kartkę. Tu jest bardzo pięknie, pogodnie, biało górzyście. Mnóstwo kolegów, bo odbywają swoje mistrzostwa narciarskie. Ja, jako człowiek, który nigdy nie miał nart na nogach, występuję w roli sędziego.
> Jesteś urocza, że o mnie pamiętasz. Zaraz po powrocie zadzwonię.
> Całuję mocno
> Rysiek

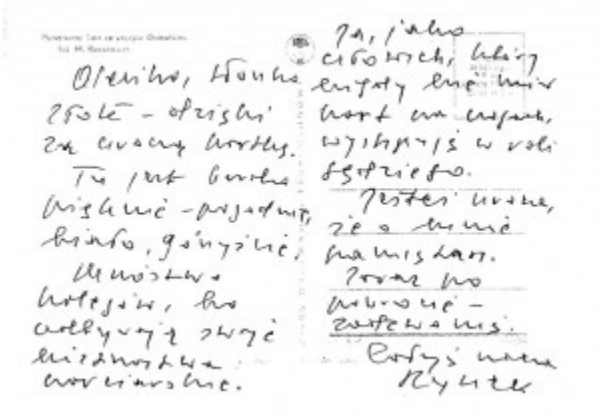

Oslo, 25 sierpnia 1986
Droga Oleńko i Tomku!
Pozdrawiam Was serdecznie z Oslo. Pięknie tu, trochę jak w Krynicy, albo w Zakopanem Ludzie bardzo sympatyczni.
Wracam początek września – zadzwonię.
Pozdrawiam serdecznie
Rysiek

Gdy odwiedziłam Polskę w 1990 roku, zaprosił mnie i mojego męża, Normana, do restauracji „Harenda” na Krakowskim

Przedmieściu. Ładnym angielskim opowiadał o pobycie w Filadelfii na stypendium. Mój powściągliwy mąż odtąd stał się jego wielkim zwolennikiem. Kupowaliśmy amerykańskie wydania książek Rysia i obdarowywaliśmy naszych przyjaciół.

Gdy każdego roku przyjeżdżałam do Polski, telefonowałam, czasami z wahaniami, myśląc, że jest zajęty i że nie chcę mu zabierać czasu. – Musisz obiecać, że zawsze będziesz dzwonić, mówił. Znajdywał czas i szliśmy na kawę. Pokazał mi swój nowy dom na Kolonii Staszica, jak kiedyś pokazał mieszkanie w blokach na Jelonkach, przy ulicy Pustola. W obu miejscach zwrócił mi uwagę na widok z okna – na drzewa.

Książki Ryszarda wydawane po 1990 roku mam w bibliotece w domu w Delaware. Od kiedy mieszkam w Stanach Zjednoczonych czytałam o nim na łamach nowojorskiego „Nowego Dziennika", dodatku literackiego „Przegląd Polski", który starannie prowadzi Julita Karkowska. Informowała o każdej nowej nagrodzie i wyróżnieniu. Doskonałe omówienia kolejnych książek drukował Marek Kusiba, zachowałam kilka z nich w swoim archiwum. Pamiętam też wywiad Czesława Karkowskiego przeprowadzony w czasie kolejnego pobytu Kapuścińskiego w Ameryce.

Zachowałam wiele wycinków na temat Ryszarda Kapuścińskiego drukowanych w prasie amerykańskiej. Widziałam na popularnej stacji PBC rozmowę z nim znanego dziennikarza, Charlie Rose.

W 2006 roku Rysio napisał, że ma kłopoty ze zdrowiem. Miał je od dawna, po powrotach z podróży, miał też zabiegi na kręgosłup.

Przyjechałam do Polski jako stypendystka Fulbrighta na dziewięć miesięcy. W przeddzień mojego spotkania w Salonie Pisarzy w Bibliotece Narodowej, Alicja Kapuścińska, nagrała wiadomość, że nie będzie obecna, bo Rysio ma tego dnia operację.

Zadzwoniłam kilka dni później, rozmawiałyśmy ponad godzinę. Umówiłyśmy się, że zatelefonuję za tydzień, kiedy miały być wyniki analiz.

Następnego dnia Ryszard Kapuściński zmarł.

Ryszard Kapuściński, fot. DailyMaverick.co.

W „Lapidarium" napisał, że w miarę jak upływa czas, życie staje się coraz bardziej podróżą w głąb naszej własnej przeszłości, w głąb siebie. I że ci nowi przybywający na świat coraz mniej nas obchodzą, bowiem nie przybywają dla nas.

Cieszę się, że miałam szczęście, dar od losu, znać Ryszarda Kapuścińskiego. Ogromnie sobie cenię, że Ryszard przybył na

świat „w tym samym czasie”.

Mam w saloniku krzyż koptyjski, prezent od niego. Mam Różę wiatrów, koraliki. I mam, jak my wszyscy, jego książki.

***

Mam wiele książek z dedykacjami Kapuścińskiego. Wszystkie dedykacje są serdeczne i pełne uczuć. Jakby miał ich w sobie tak wiele, że chętnie nimi obdarzał innych.

Pierwodruk wspomnienia Aleksandry Ziółkowskiej-Bohem: „List oceaniczny” – Dodatek Kulturalny „Gazety” pod redakcją Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, luty 2007, nr 50.

http://www.gazetagazeta.com/artman/publish/article_17083.shtml

Zobacz też:

http://aleksandraziolkowskaboehm.-blogspot.com/2017/01/ryszard-kapuscinski-wspomnienie.html

GALERIA

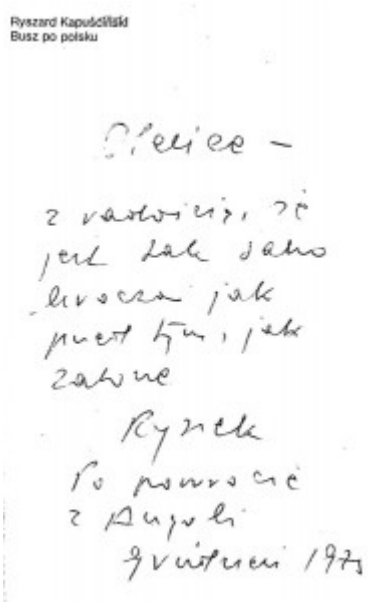

Ryszard Kapuściński
Busz po polsku

Olenice –

z radością, że
jest tak samo
wrocław jak
przed tym, jak
zawsze

Ryszek
po powrocie
z Angoli
grudzień 1975

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

Chrystus z karabinem
na ramieniu

Kochanym
Olenice i Tomkowi
od tego, ~~którego~~
jest z Wami
tak blisko
Ryszard Kapuściński
Warszawa
16.10.1987

CZYTELNIK · WARSZAWA 1976

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

DLACZEGO ZGINĄŁ
KARL VON SPRETI

Olenice –
z chęcią
napisemy
XX książek.

Ryś

W-wa 12.4.75

Kapuściński
Jeszcze dzień życia

Kochanej
Olenice –
życzę sobie,
żeby była dla
mnie taka jak
zawsze

Ryszek

Warsz 20.5.78

Ryszard Kapuściński

Kochanym
Olcice i Tomkowi
z radością że Ich
widzę, z satysfakcją,
że spotkamy się
wkrótce

z tęsknotą

Rysiek
Warszawa 7.11.1990

Ryszard Kapuściński

Notes

Kochany
Olcice
na pamiątkę

Rysiek
26.10.
87

Czytelnik · Warszawa 1986

Ryszard
Kapuściński

Szachinszach

Czytelnik
Warszawa
1983

Kochany
Henie
z ciepłą
wdzięcznością
za książkę

Ryszard

Warszawa 27.3.84

Ryszard Kapuściński

THE EMPEROR

Translated from the Polish by
William R. Brand and
Katarzyna Mroczkowska-Brand

To jest
książka
dla Olgi

wraz
ze Stanem
z Londynu

z miłością

Ryszard

PICADOR
published by Pan Books

Warszawa
22.8.84

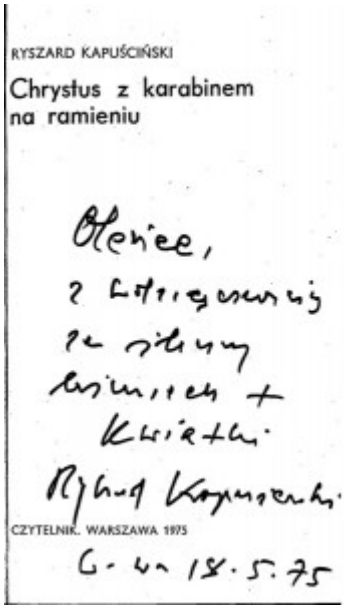

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

Chrystus z karabinem na ramieniu

Oleńce,
z [illegible]
[illegible]
[illegible] +
Kwiatki.
Ryszard Kapuściński

CZYTELNIK. WARSZAWA 1975

G-ska 18.5.75

Tłumaczka z pasją. Nina Krygier-

Michalak.

Nina Krygier-Michalak

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Powieść „Kto widział wiatr” będąca debiutem pisarskim kanadyjskiego powieściopisarza, dramaturga i satyryka Williama O. Mitchella wydana po raz

pierwszy w 1947 roku od razu stała się bestsellerem. Znalazła się w lekturze szkolnej, na jej podstawie nakręcono film. Dopiero po 60 latach zainteresowało się wydaniem kanadyjskiej powieści w pani tłumaczeniu polskie wydawnictwo MUZA. Jak długo starała się pani zainteresować wydawnictwa w Polsce tą książką?

Nina Krygier-Michalak: Około czterech lat. Jest to żmudny proces zwłaszcza kiedy nie jest się na miejscu, tzn. w Polsce i nie ma się na tamtym rynku ugruntowanej pozycji jako tłumacz. Bywało, oczywiście, że całymi miesiącami nic się nie działo, byłam zajęta inną pracą, sprawami rodzinnymi. Kiedy wybrałam się na Krajowe Targi Książki w Warszawie biorąc ze sobą piękne, albumowe wydanie, MUZA była jednym z wydawnictw, które obejrzały książkę i przywiezione przeze mnie dodatkowe materiały. No i widocznie coś musiało się im w tym wszystkim spodobać.

Jednym z powodów, dlaczego książka czekała na polskiego czytelnika od 60 lat jest zapewne fakt, że sam autor chyba nie za bardzo zabiegał o tłumaczenie jej na inne języki. Za jego życia ukazała się jedynie wersja francuska. Dopiero w ostatnich latach książka została przetłumaczona także na koreański i włoski. Z kolei jeśli nawet Polak będący tłumaczem przeczytał ją w oryginale, to zapewne rezygnował w przedbiegach, bojąc się piętrzących trudności związanych ze znalezieniem wydawcy i perspektywą pracy bardziej prestiżowej niż zarobkowej.

JSG: Jak podeszli do wydania powieści w Polsce spadkobiercy autora?

NKM: Spadkobierców spuścizny literackiej pisarza, którymi o ile mi wiadomo są jego dzieci: dwóch synów i córka, nie poznałam jeszcze osobiście, chociaż mam nadzieję, że to wkrótce nastąpi, zwłaszcza po zapięciu na ostatni guzik wszystkich warunków umowy i podpisaniu ostatecznej wersji. Przez cztery lata byłam w kontakcie internetowym z jednym z synów. Orm Mitchell wykłada literaturę kanadyjską na uniwersytecie w Trenton w prowincji Ontario. Kontakty z nim były sporadyczne i raczej oficjalne, aczkolwiek ostatnio otrzymałam miłe i ciepłe słowa podzięki za upór w dążeniu do wydania polskiego tłumaczenia dzieła jego ojca.

JSG: Dlaczego pani zapragnęła przetłumaczyć tę właśnie powieść? Co według Pani stanowi o jej wartości?

NKM: Nie jestem krytykiem literackim, więc nie wiem według jakich kryteriów dana książka zasłużyła sobie na miano arcydzieła. „Kto widział wiatr" – nawet jeśli nie uzna się jej za arcydzieło – należy z pewnością do tzw. bardzo dobrej literatury. Osadzona w realiach kanadyjskiej prerii lat 30. XX w. opowiada dzieje chłopca zgłębiającego tajniki życia. Tłem dla przygód chłopca są losy mieszkańców małego miasteczka w prowincji Saskatchewan i roztaczająca się wokół bezbrzeżna kanadyjska

preria. Co ujmuje w niej najbardziej to prosty, a jednocześnie poetycki i pełen humoru język, którym autor posługuje się zarówno opisując sprawy przyziemne, zwykłe, jak i pokazując sprawy wielkie, takie jak stosunek człowieka do przyrody, czy też problem wolności indywidualnej a odpowiedzialności przed społeczeństwem. To chyba pierwsza rzecz, która bardzo mi się w tej książce podoba – umiejętność połączenia kontrastujących ze sobą elementów: powagi z humorem, prozy z poezją, czyli jej uniwersalizm. Dzięki temu książka może podobać się zarówno osiemnastolatkowi, jak i osiemdziesięciolatkowi. Druga rzecz to od pierwszych kartek książki fascynujący proces całkowitego utożsamienia się z głównym bohaterem, który jest przecież dzieckiem i trzeba się czasem uszczypnąć, by zdać sobie sprawę z relacji bohater – czytelnik. Stanowi to, według mnie, o absolutnym autentyzmie powieści.

JSG: Czy trudno jest przenieść na język polski klimat międzywojennej kanadyjskiej prerii w prowincji Saskatchewan i losów poznającego życie młodego chłopca? Czy natrafiła pani na jakieś szczególne trudności podczas tłumaczenia?

NKM: Trudności tłumaczeniowe wynikają między innymi z uproszczonego, czy też lekko gwarowego języka, jakim posługują się niektórzy bohaterowie. Najczęściej jednak to po prostu jest to kwestia innej struktury zdania, czy też zbitek językowych, funkcjonujących w angielskim np. jako przymiotniki, nie mające

bezpośrednich odpowiedników w języku polskim, które trzeba zgrabnie rozpisać. „Black-eyed Susan” to w polskim po prostu „czarnooka Zuzanna”, ale spróbujmy przetłumaczyć „three-gaited horse”, koń idący raz stępa, raz kłusem, raz galopem. Jak zrobić z tego przymiotnikowego „konia o trzech chodach”?

JSG: Jak to jest, gdy spędza się wiele czasu z jedną powieścią. Czy „zaprzyjaźniła się” pani z jej bohaterami? Czy oni stali się częścią pani świata?

NKM: Kilka lat po przeczytaniu książki pamięta się ciągle przezabawne scenki. Z bohaterem nie tyle się zaprzyjaźniłam, co po prostu, jak już wspomniałam wcześniej, stał się on częścią mnie. Zresztą każdy z nas, mimo upływu lat, z łatwością może przenieść się w świat dzieciństwa, świat pierwszych fascynacji zapachami, barwami, smakami, świat zadziwienia i zdumienia. I ta książka właśnie ten świat przybliża, czy też jak kto woli, na nowo odkrywa.

JSG: Skończyła pani Studium Języków Obcych na Uniwersytecie Warszawskim, ze specjalnością językoznawstwo stosowane. W Kanadzie pracuje Pani jako tłumacz od 1984 roku. Czy tłumaczenie literatury to pani hobby, pasja?

NKM: I jedno i drugie. Hobby, dlatego, że w kanadyjskich warunkach (choć może i w polskich również), nie ma możliwości

poświęcenia się całkowicie tłumaczeniu literatury, zwłaszcza wartościowej. Jest to rzecz wielce nie intratna, a życie ma swoje prawa. Pasja, bo od zawsze fascynowało mnie słowo. Jeszcze kiedy mając 12-13 lat nie znałam żadnego obcego języka i namiętnie rozwiązywałam krzyżówki i fascynowała mnie zabawa na zasadzie: jak to można inaczej nazwać, czy wyszukiwanie obcych słów – angielskie piwo „Ale”, australijski misio „koala” itp.

JSG: Tłumaczy pani literaturę nie tylko z języka angielskiego na język polski, ale i odwrotnie, z języka polskiego na język angielski. Takim tłumaczeniem był np. zbiór wywiadów Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm pt. „Korzenie są polskie”. Na jaki język woli pani tłumaczyć? Proszę opowiedzieć coś więcej o „Korzeniach…”, czy np. trudno jest oddać różne polskie zawiłości historyczne w języku angielskim?

NKM: Ogólnie powiedziawszy, łatwiej tłumaczyć z obcego języka na język ojczysty, w którym się wyrosło, ukończyło szkołę. Tłumaczenie odwrotne, z języka ojczystego na obcy, wymaga jeszcze większego nakładu pracy, a ostateczna wersja musi być koniecznie sprawdzona przez tzw. native speaker. Najlepiej, tak jak ja to robię szczególnie przy tekstach literackich, przez osobę nie mającą żadnych naleciałości językowych, nie znającą obcych języków i poruszającą się tylko i wyłącznie w obrębie języka angielskiego. Poza tym proces jest podobny: pierwsza wersja,

niezgrabna, siermiężna, dosłowna, by nie uronić żadnego niuansu. Drugi etap ja nazywam przy tłumaczeniach z angielskiego na polski „przekładaniem z polskiego na nasze”, czyli obróbka językowa, szlifowanie, polerowanie, wygładzanie zdań, prawie tak jak przy obróbce drogocennych kamieni. „Korzenie” to była dla mnie przede wszystkim wielka lekcja historii: ta galeria wybitnych postaci z kanadyjskiego i amerykańskiego podwórka, wielu z pokolenia „niezłomnych” z ogromnym bagażem doświadczeń przedwojennych, wojennych i powojennych. Oprócz bardziej znanych postaci jak Czesław Miłosz czy Zbigniew Brzeziński, na kartach książki znalazł się m.in. Janusz Żurakowski, wybitny pilot doświadczalny, którego nazwisko trafiło do Encyklopedii Kanadyjskiej. Trudności językowych nie brakowało. Przez długi czas głowiliśmy się z panem Koglerem – ówczesnym dyrektorem Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Badawczego, który zlecił mi tłumaczenie – jak najlepiej przełożyć na angielski słowo: „niezłomni”. Ja zaproponowałam „indomitable”, on nie był do końca przekonany, ale ostatecznie ta wersja poszła do druku. „Indomitable” znaczy dosłownie „nieposkromiony, niezwyciężony, niepokonany”, ale w angielskim często używa się go z rzeczownikiem „spirit”, „indomitable spirit”, i to właśnie jest to, człowiek niezłomnego ducha.

JSG: Kiedy i z jakiego powodu znalazła się pani w Kanadzie? Czy czuje się tu pani u siebie?

NKM: Z kraju nie wygnała mnie ani bieda, ani prześladowania polityczne. Z mężem, Kanadyjczykiem polskiego pochodzenia, poznaliśmy się we Francji mając po 21 lat. Jego polski był wtedy słaby, mój angielski – żaden. Kilka następnych lat to długie, cotygodniowe listy (obydwoje nieźle znaliśmy już wtedy francuski), rzadkie spotkania, tęsknota i…. paszportowa gehenna. Kiedy w wieku 25 lat postanowiliśmy się pobrać, było mi obojętne gdzie jadę: najważniejsze było być razem. Z perspektywy czasu widzę jakie miałam szczęście. Przyjechałam do kraju zamożnego, do rodziny męża, która przyjęła mnie z otwartymi ramionami, znającej język polski i pielęgnującej polskie tradycje. Po prawie 30 latach trudno nie czuć się u siebie, w jakimkolwiek chyba kraju. Wszystko zaczyna nas wiązać: rodzina, dzieci, grono przyjaciół, praca, dom, sposób spędzania wolnego czasu, coraz więcej znajomych, wydeptanych ścieżek. Z Polską mam bardzo żywe kontakty, często odwiedzam tam przyjaciół i rodzinę, przez Internet ciągle słucham różnych polskich rozgłośni radiowych.

JSG: Czy jest jeszcze jakaś książka, która chciałaby pani przetłumaczyć?

NKM: Syn autora wspomniał, że jest dalszy ciąg dziejów bohatera, luźno połączony z pierwszym tomem (trochę na zasadzie „Ani z zielonego wzgórza”). Zobaczymy.

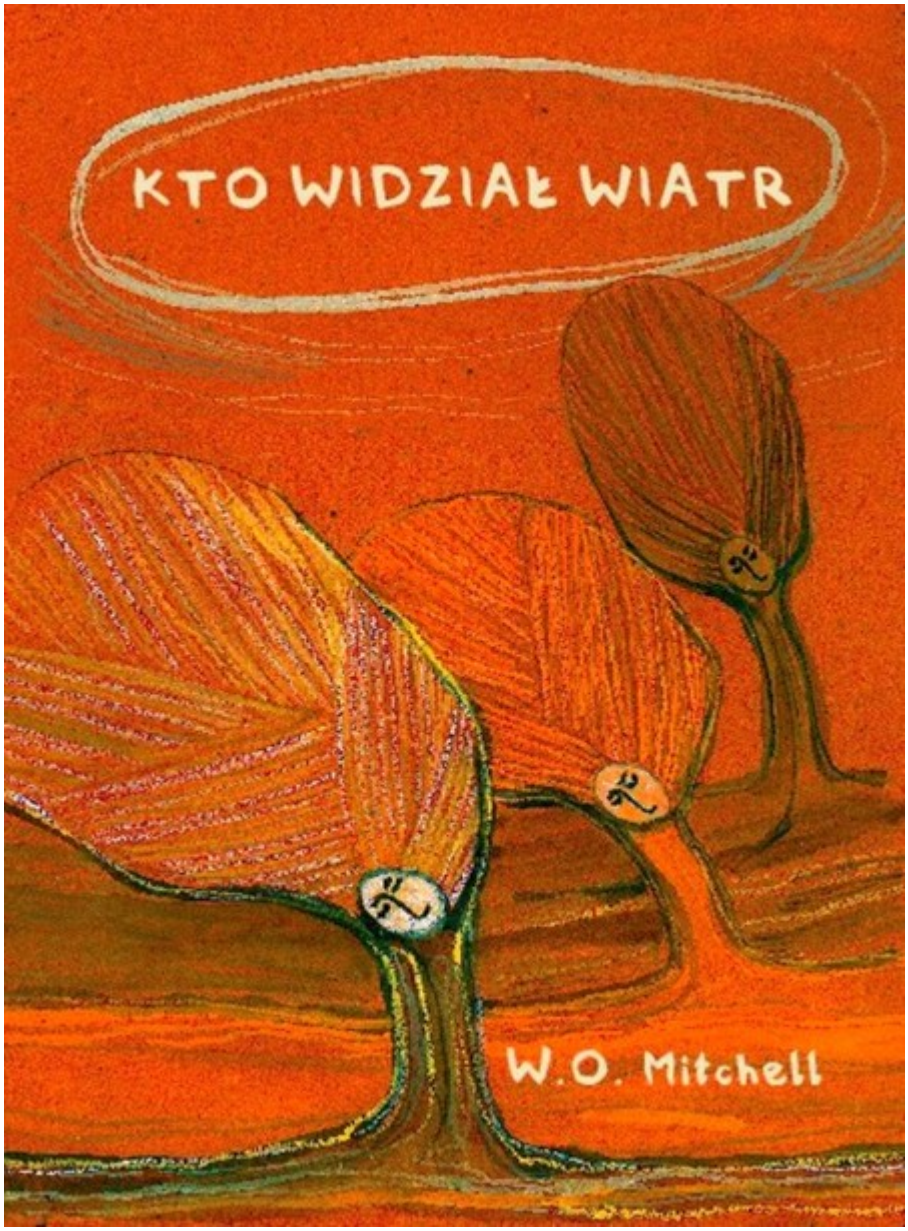

W.O. Mitchell, Kto widział wiatr, tłum. Nina Krygier-Michalak, wyd. Muza 2008 r.

Nina Krygier-Michalak jest tłumaczką z zawodu i z zamiłowania. W 1975 roku ukończyła Studium Języków Obcych na Uniwersytecie Warszawskim, ze specjalizacją – językoznawstwo stosowane. Posiada również tytuł tłumacza dyplomowanego (certified translator) przyznany przez

Kanadyjskie Stowarzyszenie Tłumaczy (Association of Translators and Interpreters of Ontario). Posługuje się językami obcymi: angielskim, francuskim, hiszpańskim. W Kanadzie pracuje jako tłumacz od 1984 roku. Jej pionierska praca przybliżająca różne sprawy z życia politycznego, społecznego, ekonomicznego i kulturalnego, pokazywała różnice między Polską i Kanadą. Aby przybliżyć Polakom Kanadę, Nina Michalak opracowała dla polskiej sekcji Radio Canada International, 30 krótkich historii, opartych na francuskich i angielskich materiałach źródłowych, dotyczących różnych aspektów życia w Kanadzie. Na początku lat 90. na zlecenie Kongresu Polonii Kanadyjskiej oraz Polsko-Kanadyjskiego Ośrodka Naukowo-Badawczego, pracowała nad serią esejów historycznych na temat wkładu Polaków w społeczeństwo kanadyjskie. Jednym z najważniejszych projektów było przetłumaczenie wybranych rozdziałów książki z okazji 50-lecia Kongresu Polonii Kanadyjskiej, wydanej w 1996 roku (Half a Century of Canadian Polish Congress). Ostatnią większą przetłumaczoną pozycją, jest zbiór wywiadów pióra Aleksandry Ziółkowskiej-Bohem pod tytułem „Korzenie są polskie”. Przedstawieni w niej zostali wybitni Polacy, mieszkający w Kanadzie i Stanach, tacy jak np. pilot Janusz Żurakowski czy doradca do spraw zagranicznych prezydenta Jimmy’ego Cartera, Zbigniew Brzeziński. (Pierwsze wydanie w 1999 r., drugie w kwietniu 2004).

Kto widział wiatr

Kanadyjska preria w prowincji Saskatchewan.

William O. Mitchell

tłumaczenie Nina Krygier-Michalak

W zagródce pana Hoffmana były najpierw tylko dwa króliki. Teraz było ich dziesięć. Chłopców zachwyciło to coś za nic. I chociaż przyszła im do głowy myśl o możliwości jakiegoś rozrostu, to jednak nie spodziewali się, że nastąpi to tak szybko. Mamą została grubaśna królica rasy belgijskiej: Brian i Fat byli naocznymi świadkami przyjścia króliczków na świat.

– O rany, Fat – wykrzyknął Brian. – Jakie one śmieszne, w ogóle nie mają włosów.

– Urosną im – oświadczył Fat. – Jak będą duże, to im urosną.

– A potem one będą miały małe – prorokował Brian. – I te urosną.

– I urodzą małe – dodał Fat.

– I te urosną i będą miały małe.

– Będziemy mieć całą masę królików – orzekł Fat.

– I co z nimi zrobimy?

– Sprzedamy je – odpowiedział Fat. – Tato zapłacił za każdego 50 centów. Sprzedamy je.

Tak więc, przez dwa tygodnie chłopcy z niecierpliwością wyczekiwali pojawienia się nowych królików. Ike zwrócił ich uwagę na ciekawą zależność: grubaśny królik – małe króliczki. Zjawisko to nie kojarzyło im się wcześniej z przyjściem na świat młodych. Pod koniec miesiąca, kiedy nic się nie pojawiło, Brian postanowił pójść do ojca.

– Tato!

– Tak, urwisku.

– Skąd biorą się króliki?

Ojciec Briana zmierzył syna wzrokiem. Siedział w swoim gabinetowym fotelu. Światło lampy stojącej przy jego łokciu rzucało blask na jego ciemne, rude włosy. W pokoju panowała cisza zmącona jedynie powolnym, miarowym pykaniem jego fajki. Już od jakichś dwóch lat czekał na to pytanie. Musi z nim o tym otwarcie i uczciwie porozmawiać.

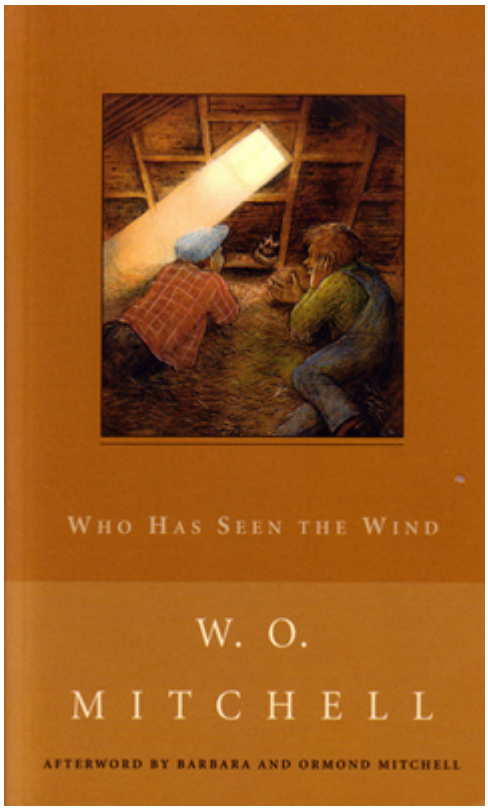

– Wiesz skąd biorą się roślinki?

– Skąd?

– Z ziarenek. Wsadza się je do ziemi i wyrastają z nich roślinki. – Spuścił rękę, by podrapać w ucho Jappy’go, leżącego przy fotelu.

– To, to wiem.

– Wiesz, co? – spytał Bobbie, który wszedł do pokoju.

– Coś, co tłumaczę Brianowi. Ze zwierzętami jest tak samo.

– Naprawdę?

– Co, jest? – spytał Bobbie.

– Małe – odparł Brian. – Mówi mi, skąd biorą się małe.

– Pamiętasz, jak pytałeś mnie o gołębie, kiedyś dawno, będzie z cztery lata temu.

– Nie – odparł Brian.

– Powiedziałem ci wtedy, że gołębie rosną w jajku – w środku jajka – a jajko jest w środku mamy gołębicy, aż się nie wykluje. Cały czas jak mama gołębica je wysiaduje, gołąbek rośnie w

środku. I wykluwa się, jak jest już dostatecznie duży.

– Ale króliki nie – powiedział Bobbie. – Brian widział jak wychodzą z mamy – powiedział, że widział jak wychodzą…

– Króliki, to co innego. Nie wykluwają się z jajka. Rosną po prostu w matce, a kiedy przychodzi czas, rodzą się.

– Rodzą się – powtórzył Bobbie.

Gerald O’Connal spojrzał w zadumaną twarzyczkę Briana. Jappy podniósł się i przeciągnął. Wyciągnął głowę i naprężył ukośnie tylnie nóżki, po czym drobnymi kroczkami wyszedł z pokoju. Wygląda na to, że wyjaśnienia były wystarczające, powiedział do siebie ojciec Briana. Podniósł znowu swój *Regina Leader*.

– A jak ziarenko dostaje się do środka? – spytał Brian.

– To – och – z tego rośnie króliczek u mamy w brzuchu, urwisku.

– I w niej jest pełno ziarenek?

– Tak – ona – coś takiego.

– A jak nie ma ziarenek, to nic nie urośnie?

Gerald O’Connal odłożył gazetę. Patrzył jak Bobbie podpiera sobie podbródek tłuściutkimi rączkami zgiętymi w przegubach, a podwinięte palce opierają się o pulchne policzki. Niebieskie oczy wpatrywały się w twarz ojca.

– Zgadza się. Tata królik musi posadzić te ziarenka.

– A skąd on je ma?

– Słucham? – One są w nim.

– To dlaczego nie rosną w nim i nie wyjdą z niego? – Brian nie dawał za wygraną.

– Bo nie. Bo muszą rosnąć w mamie królicy.

Brian zamilkł. Popatrzył na ojca z namysłem.

– To to jest tak jak mówi Ike – to on tak to robi jak …..

– Tak, właśnie to robi. Kiedy sadzi ziarenka…..

Natarczywe spojrzenie Briana wprawiało go w zakłopotanie.

– Można to tak nazwać. – zakończył pan O’Connal.

– Tato, tato? – Bobbie uwolnił z rąk swój podbródek. – A czy on może posadzić w niej rzepę?

Brian z niesmakiem popatrzył na swojego młodszego brata.

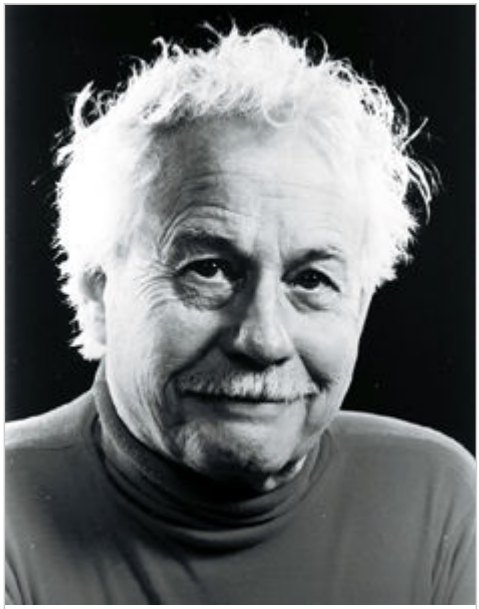

W.O. Mitchell, fot. Ed Ellis.

William O. Mitchell – kanadyjski powieściopisarz, dramaturg i satyryk urodził się w 1914 roku w Weyburn, Saskatchewan. Dorastał na Florydzie, ale w 1931 roku wrócił do Kanady i podjął studia na Uniwersytecie Mianitoba w Winnipegu. Po podróżach przez Amerykę Północną i Europę, zdobył tytuł Bachelor of Art. na Uniwersytecie w Albercie. Po studiach osiedlił się w małym miasteczku i pracował jako nauczyciel w szkole. Możliwe, że właśnie wtedy narodził się pomysł napisania książki, której bohaterem jest chłopiec, mieszkający w małym miasteczku na kanadyjskiej prerii. W 1944 roku William O. Mitchell zrezygnował z bycia nauczycielem i poświęcił się wyłącznie pisaniu. W 1947 roku opublikował powieść „Kto widział wiatr”,

która mimo tego, ze była jego debiutem pisarskim, szybko stała się bestsellerem.

Wydawnictwo Macmillian określiło go, jako „błyszczący nowy talent, który wchodzi do świata pisarskiego”. Podobnie wysoko walory pisarskie Michella ocenili krytycy i recenzenci. W latach 1948 – 1951 William O. Mitchell mieszkał w Toronto i pracował jako redaktor dla Magazynu McLeans.

Opublikował wówczas kolejne książki, przygotował kilka programów radiowych, pisał poezje. Po pobycie w Toronto, wraz z żoną zamieszkał na 20 lat w High River, a następnie państwo Mitchell przenieśli się do Calgary, gdzie do dziś mieszka ich syn. Pisarz przez szereg lat kierował pisaniem kreatywnym w Banff Centre, pełnił funkcję pisarza-rezydenta na wielu uniwersytetach, był jednym z najbardziej popularnych „speaker-performers”. Dwa razy zdobył nagrodę Stephena Leacock’a za poczucie humoru, które było stałym elementem jego wielu tekstów, przygotowywanych zarówno dla pism, jak i radia czy telewizji. Wielokrotnie go nagradzano. Otrzymał m.in. Order Kanady, a w 1991 roku został honorowym członkiem Privy Council. Powieść „Kto widział wiatr” wydawana wiele razy zarówno w Kanadzie, jak i w Stanach, weszła na stałe do lektur szkół średnich, mimo, że nie jest powieścią tylko dla młodzieży. Ale nie wszystkie wersje były takie same. Fakt ten odkryła synowa pisarza, Barbara Mitchell. Udowodniła, że oryginalne

wydanie książki zostało zapomniane, a wszystkie wydania do 1991 roku, były oparte na skróconej, amerykańskiej wersji powieści. Dopiero wydanie z roku 1997, z okazji 50-lecia pierwszej publikacji Mitchella, wydanej przez to samo wydawnictwo Macmillian, nie odbiegało od oryginału. Barbara Mitchell opatrzyła więc wydanie jubileuszowe dodatkowym esejem, będącym intrygującą historią na temat zmagań Mitchella z amerykańskimi wydawcami. W 1974 roku powieść przetłumaczono na język francuski. Obecnie tłumaczona jest również na język włoski i koreański. Wersja filmowa ukazała się w roku 1977.

Do 1980 sprzedano pół miliona egzemplarzy tej popularnej w anglo- i francuskojęzycznym świecie, książki.

Nowela W.O. Mitchella nosi znamiona charakterystyczne dla literatury kanadyjskiej. Jest nimi stosunek człowieka do przyrody, porównanie praw natury z prawami rządzącymi wspólnotami ludzkimi, problemy takie jak – wolność indywidualna, a odpowiedzialność przed społeczeństwem, świat dziecięcej niewinności, a doświadczenia życiowe człowieka dorosłego itd. Osadzona w realiach kanadyjskich prerii, pełna humoru, sugestywnych opisów przyrody i barwnych postaci przedstawia wartości ogólnoludzkie, przemawiające do każdego, bez względu na miejsce zamieszkania i wiek.

Przepojona prostotą i autentyzmem opowiada dzieje chłopca zgłębiającego tajniki życia. Tłem dla przygód chłopca są losy mieszkańców małego miasteczka w prowincji Saskatchewan i roztaczająca się wokół bezbrzeżna kanadyjska preria.